

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370·50 Marek, Półrocznie 741·– Mk. Rocznie 1482·– Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 30 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 30. lipca 1921. Nr. 31.

Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce



Plac Teatralny w Warszawie podczas defilady Sokołów w ostatni dzień Zlotu.

Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

TREŚĆ: Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce. — Powrót biskupa-męczennika. — Święto francuskie we Lwowie. — Oficyalne stwierdzenie przyjaźni francusko-amerykańskiej. — Podbój powietrza. — Król hiszpański Alfons w Paryżu. — Mistrze boksu.

Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce.

Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w samodzielnej i zjednoczonej Polsce a szósty z dotychczasowych, odbył się w Warszawie w dniu od 8—10 lipca br. Przybyło nań do 10 tysięcy uczestników ze wszystkich stron Polski, stosunkowo licznie reprezentowani byli nasi Sokoli z zagranicy, a także z Ameryki. Zlot wypadł świetnie, pogoda dopisała w zupełności. Na każdym kroku spotkać można było dzielne sokolskie postacie ubrane w szary mundur lub strój gimnastyczny ze wstążeczką, wskazującą dzielnicę lub miejscowość. Wśród przybyłych witano przedewszystkiem bardzo gorąco druhów z Górnego Śląska, którzy zjawili się w liczbie około tysiąca.



Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce: Przemowa prezesa Rady miejskiej warsz. Ignacego Balińskiego do Sokołów przed Ratuszem. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Dzień pierwszy uczestnicy Zlotu poświęcili na wzajemne zaznajamianie się i ćwiczenia, które od samego rana odbywały się w Agrykoli bez udziału publiczności, od południa zaś za biletami. Właściwe otwarcie Zlotu odbyło się w Filharmonii o godz. 7 wieczorem, poczem w Resursie obywatelskiej nastąpiło zebranie towarzyskie.

W przepełnionej po brzegi sali Filharmonii w powitaniu przybyłych uczestników Zlotu wzięli udział: kardynał Kakowski, minister spraw wojskowych Sosnkowski, marszałek Sejmu Trąmpczyński, zast. ministra zdrowia Dr Żelisław Lachowicz, szef departamentu naukowego Jacyna, prezes Rady miejskiej Ignacy Baliński, wreszcie przedstawiciele wielu instytucyj społecznych i korporacyj.

Przemawiali: prezes Związku towarzystw sokolich w Polsce, witając uczestników; prezes Rady miejskiej, Ignacy Baliński, imieniem m. st. Warszawy; Adam hr. Zamoyski im. Komitetu organizującego Zlot; p. Marek Borkowski imieniem Zjednoczenia stow. polskich, oraz przedstawiciele sokolstwa z poszczególnych dzielnic: gniazd okręgu warszawskiego, nieistniejącego już dziś Związku stowarzyszeń sokolich w państwie niemieckiem, Sokoła lwowskiego, który był kolebką sokolstwa w Polsce, Sokoła śląskiego i wreszcie Sokoła w Westfalii.

Pięknie przemówił minister spraw wojskowych jen. Sosnkowski:

„Sokoli! Gdy przed pół wiekiem przeszło powstały zawiązki sokolstwa polskiego, twórcy jego marzyli o tem, że przysposobią siłę fizyczną na bój narodu o niepodległość. Ziściły się ich sny. Z szeregów sokolstwa wyrosły tysiące mężnych i prawych żołnierzy Polski zmartwychwstającej. Pod opieką sokolstwa rozwinął się małopolski skanting, prawdziwa szkoła bohaterstwa, ducha rycerskiego i młodzieńczego zapału. W niepodległej Rzeczypospolitej nowe zadania stają przed sokolstwem polskiem. — Ojczyzna ostać się może wolną jedynie przy powszechnej gotowości narodu do jej obrony. Spójrzcie panowie na mapę Rzeczypospolitej. Zrozumiecie resztę. Wojsko samo nie sprosta zadaniu przysposobienia całej masy narodu do obrony najświętszej sprawy. Może być tylko przewodnikiem, doradcą, instruktorem technicznym, ramą ujmującą w momencie niebezpieczeństwa zmobilizowane siły narodu. Z wojskiem współdziałać muszą organizacye społeczne, podejmujące się pracy nad przysposobieniem ogółu do zadań olbrzymich nowoczesnej wojny narodowej. Jedną z dróg, wiodących w tym kierunku, jest wychowanie fizyczne, potęgujące zdrowie, siły, energię, wytrwałość narodu. Armia polska poprze usilnie każdą organizacyę wojskowo-wychowawczą, która szczerze, bez celów ubocznych do pracy tej przystąpi, godząc się na techniczne kierownictwo wojska w zakresie przysposobienia wojskowego. Wojsko uszanuje niezależność każdej organizacyi, jej ustrój wewnętrzny, jej tradycye. Armia narodowa liczy na patryotyzm, zapał i wypróbowaną tężyznę sokolstwa polskiego. Witając uczestników VI Zlotu sokolstwa polskiego wzywam was do współpracy nad przysposobieniem narodu do obrony Ojczyzny. Czołem!"

Z przemówień sokolskich silne wrażenie wywarła odpowiedź na powitanie, wygłoszone przez wiceprezesa Sokoła dzielnicy śląskiej, dra Wolskiego. Sokołów śląskich podejmowano owacyjnie.

Do uświetnienia powitania przyczynił się chór „Lutni" i orkiestra garnizonu warszawskiego.

Zebranie w Resursie zgromadziło kilkaset osób z pośród przewodniczących poszczególnych gniazd sokolich z całej Rzeczypospolitej, oraz wybitnych osobistości miasta. Miłym gościem był zastępca jen. Niessla, jen. Bernardi, w którego ręce na cześć Francyi wzniesiono szereg toastów. W serdecznym nastroju przeciągnęło się zebranie poza północ. W toastach podkreślano zasługi Sokolstwa Polskiego, położone na polu walki, gdzie całe oddziały walczyły skutecznie, przyczyniając się ku odzyskaniu niezawisłości Rzeczypospolitej. Z inicyatywy prezesa Związku restauratorów p. E. Dawisona, właściciele restauracyi warszawskich własnym sumptem obesłali stoły biesiadne hojnie i wykwintnie.

Część uczestników Zlotu znalazła się wieczorem na przedstawieniu w teatrze „Nowości". Po pierwszym akcie melodyjnej „Gwiazdy Kaukazu" powitał Sokołów p. Walter, wznosząc na ich cześć okrzyk, powtórzony przez wszystkich obecnych, poczem orkiestra odegrała hymn narodowy.

W drugi dzień w południe prezes organizacyjnego Komitetu Zlotu Sokolstwa Polskiego Adam hr. Zamoyski, wydał przyjęcie w ogrodzie przy swojej rezydencyi na Foksalu. Oprócz przewodniczących poszczególnych gniazd sokolich przybyli: marszałek W. Trąmpczyński, prezydent m. Warszawy inż. P. Drzewiecki, prezes Rady miejskiej I. Baliński, wice-minister spr. wojsk. jen. E. Henning-Michaelis, jen. Jacyna, prezesi klubów sportowych, mecenas Osuchowski, ks. Stef. Lubomirski, przedstawiciele prasy i instytucyi społecznych, grono pań itd. Honory domu czynili oprócz gospodarza prezesowa Adamowa hr. Zamoyska z córką i synem. W miłem nastroju biesiadowano czas dłuższy, słuchając w pięknym ogrodzie śpiewu wioślarskiej „Dudy" i koncertu orkiestry.

Szczególną sympatyną otaczano druhów i druhny ze Śląska Cieszyńskiego.

O godz. 4 poświęcono czas na ćwiczenia zlotowe.

Wspaniały widok przedstawiał Plac Wyścigowy, zapełniony tysiącznymi zastępami polskiego sokolstwa. Loże, trybuny i plac przed niemi wypełniła publiczność. Po środku pola, w specyalnie wybudowanym pawilonie, umieszczono orkiestrę wojskową, w takt muzyki której odbywały się ćwiczenia wspólne sokołów i sokolic. Bardzo sprawnie wykonane zostały ćwiczenia odrębne dzielnic i ćwiczenia popisowe zawodniczych zastępów. Największem jednak uznaniem i oklaskami darzono występy sokolic, które w bardzo licznych zastępach gniazd całej Polski wykonały wspólne ćwiczenia z krótkiemi wywijadłami. Ćwiczenia zarówno męskiej, jak żeńskiej młodzieży prowadził p. Sławkowski z Krakowa. W przerwach popisywała się orkiestra młodzieży sokolej szóstego gniazda Sokoła z przedmieścia Pragi.

Warsz. Tow. Łyżwiarskie z okazyi Zlotu wieczorem w własnej siedzibie (Dolinie Szwajcarskiej)





Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce: 1) Bohater śląski, Kronke, obecny na Zlocie. 2) Prezes Komitetu zlotowego hr. A. Zamoyski (X) w towarzystwie posła Rudnickiego. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

podejmowało koleżeńską wieczerzą gości Sokołów, witanych przez prezesa p. Józefa Szwejcera, wiceprezesa p. Rudnickiego i gospodarza A. Makiewskiego.

Pierwszy wzniósł toast prez. J. Szwejcer na cześć marszałka Trąmpczyńskiego, a następnie Sokolstwa Polskiego. Odpowiedział na toast prezes Zw. Sokołów Biega.

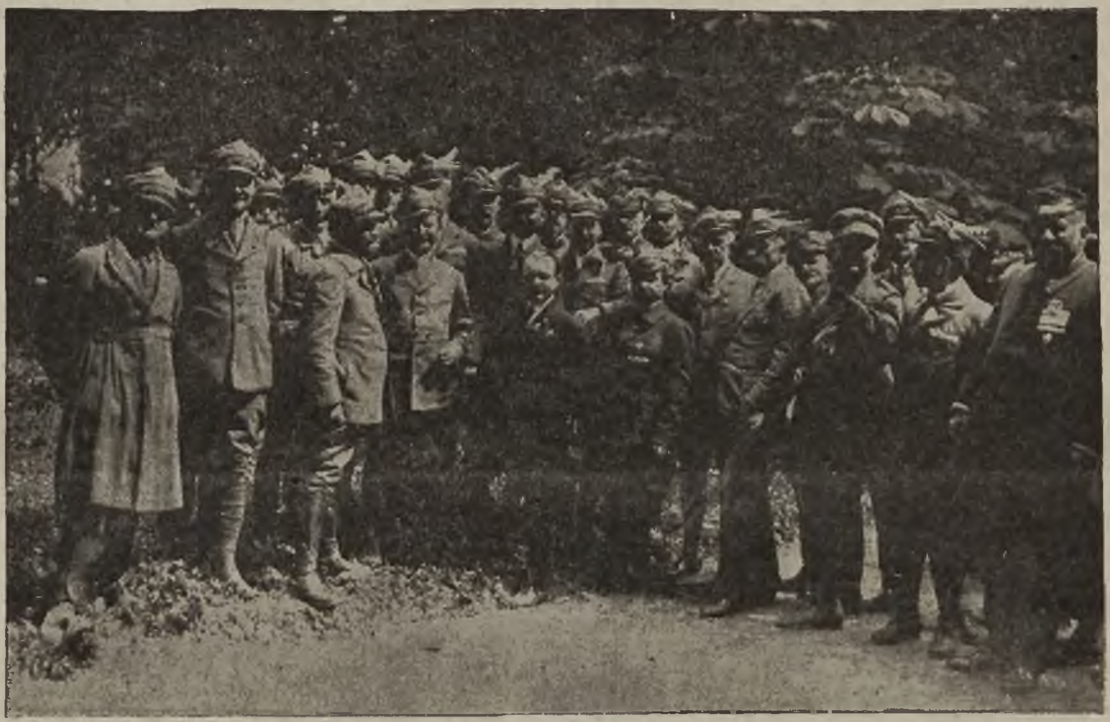
Następnie przemawiał marszałek Trąmpczyński o znaczeniu sokolstwa; później mówił przedstawiciel Lwowa Małaczyński, pos. Rudnicki, Kronke, prezes powstańców śląskich Rudziński, Rowiński z Krakowa pił zdrowie armii polskiej w ręce wiceministra Michaelisa. Jednem z piękniejszych było przemówienie Andrzeja Niemojewskiego. Przemawiał także p. Stanisław Jarkowski w imieniu literatów i dziennikarzy, Gawlikowski i inni.

P. St. Jarkowski przeczytał depeszę od Sokołów z Paryża, pozdrowienia z Berlina od braci Sokołów, którzy wbrew swojej woli przybyć nie mogli, z Gdańska od adm. Porębskiego i od Sokołów ra domskich.

Składka na rzecz wdów i sierót po powstańcach górnośląskich dała 56 200 mk, do której to sumy prezes Tow. Łyżwiarzy p. J. Szwejcer dodał 23.800 mk i od klubu 80.000 mk. Sumę tę złożono na ręce marszałka.

Po mowach odegrano hymn narodowy i „Rotę".

Ostatni dzień Zlotu od rana sprowadził liczne zastępy Sokołów i Sokolic na Plac Wyścigowy, gdzie przy umyślnie urządzonym ołtarzu na boisku o godz. 9 r. ks. kapelan Prądzyński odprawił mszę. Podczas mszy śpiewały połączone chóry, pieśni nabożne zaś wykonała orkiestra komendy miasta pod dyrekcyą majora A. Sielskiego.



Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce: Komitet Zlotowy. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



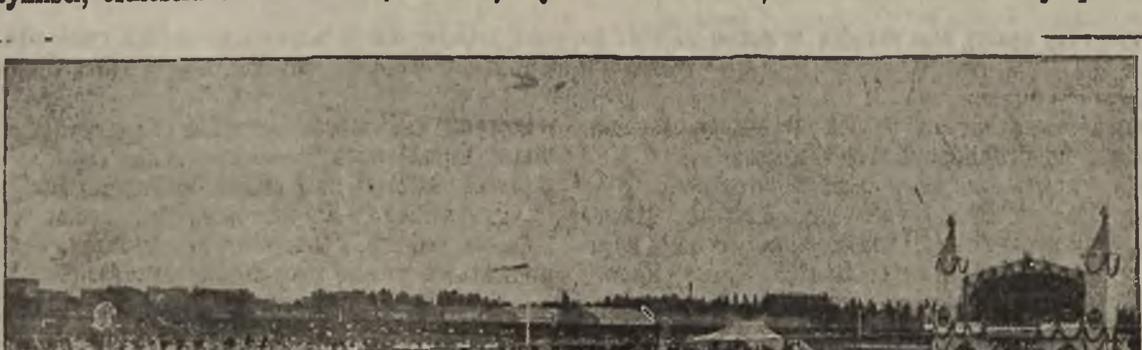
Czoło pochodu poprzedzane konną muzyką wojskową. **Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce:** Defilada Sokolic. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

O g. 10 m. 15 zaczął się formować pochód, który długim wężem rozciągał się przez ul. Nowowiejską ku Alejom Ujazdowskim. Pochód rozpoczynali cykliści, orkiestra ułańska konno, oddział jazdy sokolskiej w liczbie około 100 konnych, następnie kroczyły oddziały skautowskie, między którymi znajdowały się nawet niespełna dziesięcioletnie pacholęta maszerujące w takt muzyki ze sprawnością wyćwiczonych Sokołów. Witano ich za to sympatycznymi oklaskami. Za młodzieżą maszerowały liczne zastępy Sokolic; każdy oddział odznaczał się jednolitością ubrania lub przybrania głów. Były więc główki w kraśne chustki zdobne, białemi beretami nakryte lub sokolskiemi czapeczkami ozdobione. Za Sokolicami szły zastępy Sokołów, poprzedzane sztandarami i przegradzane orkiestrami, których naliczyliśmy ośm. O długości pochodu, który zamykały ambulanse Czerwonego Krzyża świadczy przemarsz przed władzami rządowemi i miejskiemi na Placu Teatralnym; trwał on przeszło pół godziny. Pochód skierował się z Alei Ujazdowskiej na Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Trębacką i Nowosenatorską na Plac Teatralny. Przez całą drogę pochodu licznie oczekująca publiczność witała oklaskami i okrzykami „niech żyją Sokoli!" i „cześć!". Również z okien i balkonów powiewano chustkami i wznoszono okrzyki. Najżywiej jednak, a chwilami wprost entuzjastycznie witano zastępy Ślązaków i Ślązaczek tak z Górnego Śląska jak i cieszyńskich Sokołów.

Pochód na Placu Teatralnym znalazł się dopiero o godz. 11¼, gdzie władze rządowe i miejskie oczekiwały na Sokołów.

Przed Magistratem wybudowano obszerną estradę pokrytą dywanami, na której ustawiono rząd foteli i kilkadziesiąt krzeseł dla gości. Cały fronton Magistratu nadzwyczaj gustownie przybrano w kobierce kwiaty, festony, oraz herby państwowe i miejskie.

Na estradzie zasiedli prezes ministrów W. Witos, marszałek W. Trąmpczyński, minister Rataj, grupa posłów m. Warszawy z inżynierem Rossetem na czele, prezydent P. Drzewiecki, prezes Rady miejskiej I. Baliński, oraz ławnicy miejscy. Wojskowość reprezentowali wiceminister jen. E. Henning Michaelis, komendant m. Warszawy jen. Suszyński, jenerał Jacyna, b. minister jen. Leśniewski i jenerał Jung. Gdy pochód ustawił się na Placu wypełniając go całkowicie, do estrady podeszła grupa przewodniczących Sokolstwa, z której prezes Związku z Poznania p. Bernard Chrzanowski przemówił do przedstawicieli rządu i miasta dziękując za przyjęcie, jakie miasto zgotowało przybyłym tak licznie zastępom Sokolstwa. Odpowiedział prezes I. Baliński,



Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce: Ćwiczenia Zlotowe Sokolic na Placu Wyścigowym. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

przyrzekając opiekę miasta nad Sokolstwem, aby mogło się rozwijać szybko i pomyślnie. Przemówienie swe zakończył prezes Rady miejskiej okrzykiem na cześć Sokołów, powtórzonym przez tłumy zalegające plac i sąsiednie ulice. Po mowie prezesa



Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce: Ćwiczenia Zlotowe Sokołów na Placu Wyścigowym.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Chrzanowskiego orkiestra odegrała hymn narodowy, a po mowie prezesa Balińskiego „marsz sokołów" przy którego dźwiękach odbyła się defilada wszystkich zastępów przed estradą.

Opuszczających plac prezesa ministrów Witosa i marszałka Trąmpczyńskiego, publiczność żegnała owacyjnie.

Po południu tłumy Warszawiaków zaległy Plac Wyścigowy, trybuny i deptak, by podziwiać ćwiczące się zastępy Sokołów i Sokolic.

Przedewszystkiem popisywała się młodzież żeńska, następnie odbyły się ćwiczenia odrębne dzielnic i ćwiczenia popisowe zawodniczych zastępów, dalej bardzo efektowne ćwiczenia Sokolic krótkiemi wywijadłami wreszcie wspólne wolne ćwiczenia Sokołów.

Do przebycia czterometrowego gładkiego parkanu bez sztucznych przyrządów stanęła jedynie drużyna z Tarnowa i przebyła ją w 22 sekundy. Również przebycie płotu wysokiego na 7 metrów podjął się tylko jeden druh Romanow z Nowego Sącza i przeszedł go w 10 sekundach.

Ćwiczenia prowadził druh Świątkiewicz Włodzimierz ze Lwowa.



Powrót biskupa-męczennika Powitanie powracającego z niewoli bolszewickiej ks. biskupa Łozińskiego na dworcu kolejowym w Warszawie
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Na zakończenie zlotu nastąpiło publiczne ogłoszenie wyników zawodów.

Przed szeregami wszystkich Sokołów stanęli druhowie i druhny, nagrodzeni za sprawne ćwiczenia w zawodach. Za nimi ustawili się wszyscy chorążowie ze sztandarami. Prezes Związku Tow. „Sokół" p. Bernard Chrzanowski w krótkich słowach podziękował zawodnikom za karną i sprężystą pracę. Sokoli żetonów żadnych nie mają. Nagrodą dla nich był pełen serdeczności uścisk dłoni prezesa.

Za wspinanie się na drążek wyższego stopnia odznaczyli się druhowie Luter i Kozioł.

Trzy drążku niższego stopnia druhowie Bieniender, Dobrowolski, Tanenberg, Lejczak, Hausberger, Felknerowski i Hermanowski. W 5-cio boju odznaczeni zostali druhowie: Bunsch, Korus, Romanow, Grankowski i Rokicki.

W biegu 100 metrowym odznaczono: Karolińskiego, Stogowskiego, Suligowskiego i Chadelskiego.

Skok w zwyż odznaczył druhów: Bunscha, Kopczyńskiego, Karolińskiego i Majtkowskiego.

Skok o tyczce — druhowie: Dąbrowski, Marciniak, Orzech i Czwarnok.

Na zakończenie poszły w zawody w piłce koszykowej druhny. Stanęły do gry dwie drużyny: Krakowa i Warszawy. Świetne zwycięstwo przypadło stolicy podwawelskiej. Krakowianki zdobyły 29 punktów na 0.

Skład sędziów stanowili druhowie: Szkolnikowski, prof. Wyrobek i Zajdzikowski z Krakowa, Zieliński z Warszawy, Kapałka ze Lwowa i Faramowicz z Poznania.

Wieczorem rozpoczął się już powrót Sokołów do domów specyalnymi pociągami, wychodzącymi około północy.

Zlot warszawski pozostawił po sobie bardzo miłe wspomnienie w sercach uczestników, którzy po raz pierwszy, jako wolni obywatele Polski zjechali się z trzech byłych zaborów w stolicy kraju, aby odbyć przegląd swych sił. Wypadł on pod każdym względem wspaniale i stwierdził, że idea sokola u nas nie tylko nic nie straciła na swych dawnych siłach, ale owszem wzmogła się znacznie i dla przyszłości naszego narodu rokuje jak najświetniejsze nadzieje, przygotowując Ojczyźnie nie tylko dzielnych obrońców jej praw i granic, ale też i obywateli świadomych swych zadań i celów.

Powrót biskupa-męczennika.

Biskup miński, ks. Zygmunt Łoziński, to wzór owego ewangelicznego pasterza, który każdej chwili gotów jest oddać życie w obronie owczarni swojej. Gdy nawała bolszewicka zalała mińszczyznę, nie pozostawił trzódki swej bez opieki, wytrwał mężnie na stanowisku, bronił jej z narażeniem nieraz swojego życia, cierpiał ze strony czerwonych zbirów niesłychane prześladowania, wreszcie przewieziony do Moskwy i osadzony w więzieniu, traktowany był jak pospolity zbrodniarz. Wiele czasu i starań kosztowało nim udało się uwolnić Księcia Kościoł drogą wymiany jeńców z bolszewickiej niewoli.

Przybywającemu zgotowała Warszawa gorące i serdeczne powitanie, dając tem dowód, że naród polski umie uznać i ocenić zasługi dlań położone. O ks. biskupie Łozińskim można śmiało powiedzieć, że kochał i cierpiał za miliony.

W dniu przyjazdu przed godziną jedenastą rano plac przed dworcem, poczekalnie i peron zapełniły delegacye, dygnitarze i publiczność. W sali przybranej zielenią zgromadziły się przedstawiciele duchowieństwa z ks. arcybiskupem Roopem, ks. biskupem Szelążkiem i zastępcą nuncyusza monsignorem Pelegrinettim, wojskowość z jenerałem Jacyną



Pierwszy ogólny Zlot Sokołów w wolnej Polsce: Marszałek Trąmpczyński w rozmowie z Ślązaczką Cieszyńską podczas przyjęcia u hr. A. Zamoyskiego. Aj. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

i komedantem miasta jenerałem Suszczyńskim, minister Raczkiewicz, wiceminister Jan Dąbski, prezes Rady m. Baliński, szef protokołu Przeździecki, matka ks. Łozińskiego, krewny jego ks. prałat Czeczot i dalsza rodzina, członkowie komitetu przyjęcia, reprezentanci prasy, oraz liczni zaproszeni.

Na peronie ustawiły się cechy z chorągwiami i przedstawiciele stowarzyszeń, między innemi Tow. Wioślarzy z prezesem hr. Zamoyskim, Zw. Ziemianek, Nar. organizacya kobiet, Komitet pomocy jeńcom z redaktorem Sicińskim, Komitet Zjednoczenia kresów wschodnich, delegacya młodzieży akademickiej, Sokoli, Stow, rob. chrz., Zw. chrz. polskiej służby domowej, dzieci z miejskich zakładów dobroczynnych i t. d. Szpaler zamykała honorowa kompania wojska z muzyką.

Punktualnie o godz. 11 m. 20 pociąg wiozący ks. Biskupa wjechał na stacyę. Muzyka zaintonowała „Modlitwę warszawską z r. 1863". Na wszystkich twarzach znać było głębokie wzruszenie, w oczach wielu łzy zabłysły. Gdy ks. Biskup wysiadł z wagonu, pierwszy powitał go imieniem Naczelnika Państwa ks. kapelan Tokarzewski. Następnie przemawiali: jen. Jacyna—im. ministra wojny i wojskowości, ks. arcybiskup Roop — im. duchowieństwa.

Prezes Rady m. Baliński, mówiąc imieniem

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II.

Oparła się na otomanie. Szarość znikła z jej twarzy. Wyglądała teraz swobodna. Isaacson przypomniał sobie, jak ta kobieta wyciągnęła z niego co było najlepsze, jak patrzała na niego, stojąc w swym pokoju w Savoy, kiedy ją widział po raz ostatni przed jej małżeństwem z Niglem. Wtedy była w różowej sukni. Obecnie w czarnej — z powodu Harwich'a.

— Lecz pani mnie nie zawezwie — rzekł szorstko.

— Dlaczego? jako lekarzowi, ufam panu.

— A jednak pani tego nie uczyni.

— Jeżeli doktór Hartley będzie sobie życzył konsylium, obiecuję panu, że go poproszę. Mam nadzieję, że pan nie postawi za wysokiego honoraryum. Pan musi pamiętać, że teraz jesteśmy prawie ubogimi ludźmi.

Rzadko kiedy Isaacson się mienił, lecz na te słowa ciemna jego twarz pokryła się rumieńcem.

— Jeżeli pani przypuszcza, że... że chcę pieniędzy... — zaczął.

— To zawsze przyjemnie zarobić coś w czasie wakacyi. Lecz wierzę, że pan nie będzie wymagał od Nigla za wiele.

Isaacson wstał. Chciał wyjść, opuścić tę kobietę. Na chwilę zapomniał o głosie i słowach, które słyszał w nocy. Jego miłość własna i duma kazały mu iść.

Czytała w nim. Wstała także, podeszła do drzwi i rzekła z uśmiechem:

— Pan idzie?

Spojrzał na nią. Zobaczył w jej oczach wyraz, który w nich widział przy pożegnaniu w Savoy.

— Pan idzie?

— Tak — rzekł. — Idę! Idę do męża pani!

I zanim zdołała przemówić, lub się ruszyć, był już przy drzwiach, przez które wyszedł Hanza; otworzył i znikł, zamykając je cicho za sobą.

XIII.

Meyer Isaacson postąpił z tak nagłą i zręczną stanowczością, tak prędko i chytrze wykonał swe postanowienie — postanowienie, wywołane jej zimną złośliwością, że Mrs. Armine straciła na chwilę panowanie nad sobą, nad swemi myślami, nawet życzeniami. Kiedy drzwi się zamknęły i została sama, nie ruszyła się z miejsca. Uczuła się znużoną, prawie senną; i jak nieraz ktoś, kto zasypia, powraca przecież do jakiejś myśli, nie związanej napozór z żadną inną myślą, tak i jej się wydało, że patrzy sennemi oczami na arabskie litery nad drzwiami Lonlii, powtarzając sobie w duchu słowa, które Barondi wybrał jako motto dla swej łodzi, na której ta rzecz się stała — widzenie się Isaacsona z Niglem.

„Przeznaczenie każdego człowieka jest przywiązane u jego szyi".

Stało się. Musiało się stać. Cofnęła się trochę, wyciągając naprzód ramiona, jak człowiek obarczony za wielkim ciężarem. Jej przeznaczenie zostało uwiązane u jej szyi. Lecz ten ruch, jakkolwiek lekki, przywrócił przytomność kobiecie, która wyzywała i wyzyskiwała świat — wyzywała kobiety, wyzyskiwała mężczyzn.

I zbudziła się w niej myśl.

— Jestem jedyną kobietą na tej łodzi.

Ściągnęła ramiona. Odrętwienie przeszło. Otworzyła drzwi i biegła przez korytarz, wiodący do pokoju z fontanną, wołając:

— Nigel! Nigel! Co myślisz o mojej niespodziance?

Weszła do pokoju z łagodnym, pełnym kobiecości pośpiechem. Obaj mężczyźni w nim się znajdowali. Nigel siedział oparty o poduszki na otomanie przy pianinie, na którem stały nuty „Gerontius". Isaacson stał przed nim nachylony i trzymał go za rękę. Za nim, we wschodnim domu Barondiego, mała fontanna biła w górę i rozpryskiwała wodę, podtrzymując złoconą kulkę.

Mrs. Armine nie namyślała się, nie rozumowała, poszła za instynktem, wypróbowanym przez życie. Nie wiedziała, jak długo pozostawała samotna, nie pytała się, czy Meyer Isaacson miał czas coś powiedzieć, ani co powiedział, jeżeli zdążył to uczynić. Weszła tylko z pośpiechem, siadła obok swego męża, położyła mu rękę na ramieniu, dotykając się palcami jego szyi i rzekła:

— Co myślisz o mojej niespodziance? Czy źle uczyniłam? Czy ci to nie zaszkodziło, Nigel?

Mówiąc to, patrzała na Isaacsona i nabrała przekonania, że nic nie powiedział. Naturalny rumieniec przyłączył się do różu na jej policzkach.

— Nigel, powinieneś mi przebaczyć! — zawołała.

— Przebaczyć, tobie?

Cichy jej głos przemawiał trochę silniej, niż na balkonie. Isaacson puścił ręce przyjaciela. Wyraz czujnej opieki, zdający mówić: „Wybawię cię! Oto ręka — silna ręka, która cię wstrzyma nad przepaścią" — zniknął. Stał wyprostowany, lecz utkwił oczy w chorego. Nigdy w swoim konsultacyjnym gabinecie nie patrzał na żadnego pacyenta tak przenikliwie i badawczo, jak teraz na Nigla Armine.

— Przebaczyć, tobie? — Nigel powtórzył.

Z wysiłkiem podniósł rękę i dotknął się swej żony.

— A wieczorem, kiedy... kiedy powiedziałem: „Gdyby tylko Isaacson był tutaj?" czy wiedziałaś?

— Że przyjdzie? Tak, wiedziałam. I o mało się nie wygadałam. Ale, jak widzisz, kobieta może dochować tajemnicy.

— Jakim sposobem mogłaś wiedzieć?

Spojrzał na Isaacsona, lecz doktór zostawił odpowiedź Mrs. Armine. Dość mu było, że widział swego przyjaciela.

— Spotkaliśmy się dzisiaj w świątyni Edfu. Powiedziałam doktorowi Isaacsonowi o twojem porażeniu słońcem i prosiłam go, żeby przyszedł wieczorem nas odwiedzić.

Kłamała ze spokojem, jak wtedy w restauracyi Savoy-Hotel, kiedy siedzieli przy stoliku. I tak, jak wtedy, Isaacson słuchał jej kłamstw, lecz obojętniej, gdyż wytężył całą swą uwagę na Nigla.

Ta dziwna szarość twarzy, straszne wychudzenie, drżące ręce, oczy zdające się błagać o pomoc — co to wszystko mogło oznaczać?

— Ale dlaczego jesteś w Egipcie? — zapytał Nigel, — Nie przyjechałeś z powodu...

— Nie, nie — rzekł Isaacson.

— A zatem — i uśmiech smutniejszy od łez ukazał się na twarzy chorego — a zatem, może przyjechałeś, żeby zobaczyć nasze szczęście? Pamiętasz mój list, Ruby?

— Tak — rzekła.

Jego dłoń wciąż spoczywała na jej ręku.

— Od tej pory zły czas zaczął się dla mnie. Ale to szczęście nigdy mnie nie opuściło — nigdy.

— I nigdy nie opuści — rzekła.

Mówiąc to, spojrzała na Isaacsona i wyczytał pogróżkę w jej oczach, które mu powtórzyły to, co jej głos powiedział w tamtym pokoju: „mój nieprzyjaciel nie znajdzie nigdy przyjaciela w mym mężu". I widok tych dwojga razem przekonał go lepiej o ich wzajemnym stosunku, niż jakiekolwiek wyrazy mogły to uczynić.

Nastało krótkie milczenie, przerywane tylko szmerem fontanny. Wreszcie Mrs. Armine rzekła łagodnie:

— A teraz, Nigel, kiedy już miałeś niespodziankę, powinieneś iść spać. Doktór Isaacson przyjdzie jutro na konsylium z doktorem Hartley o czwartej.

Powiedziała to tak, jak gdyby cała rzecz była już ułożona.

— Spać! Wiesz, że nie mogę spać! Nigdy teraz nie mogę spać!

— Czy to zupełna bezsenność? — zapytał Isaacson.

— Prawie wcale nie śpię. Te noce są tak okropne.

— Tak, mój najdroższy, lecz dzisiaj, sądzę, że będziesz spał!

— Dlaczego dzisiaj?

— Z powodu tej miłej niespodzianki, którą ci przygotowałam. Przykro mi było, gdy cię podnieciła, zamiast uspokoić. Czy wiesz, która godzina? Już po jedenastej. Powinieneś pozwolić doktorowi Isaacsonowi odejść. Podług naszej umowy nie powinien zajmować się dzisiaj twoją chorobą. To nie byłoby poprawne względem doktora Hartley'a.

— Co mi tam Hartley — mruknął chory.

— Wiem. Lecz musimy grzecznie z nim postępować. Bądź rozsądny i idź do łóżka. Powiedziałam dużo o tobie doktorowi Isaacsonowi i jestem pewna, że będziesz spał, wiedząc, że jest tak blisko ciebie.

— Nie chcę już mieć nic do czynienia z Hartley'em, Nic nie wie. Nie chcę go widzieć jutro — mówił gniewnie.

— Nigel! — zawołała.

Położyła swą dłoń na jego ręku.

— Przebacz mi najdroższy!

Łzy stanęły mu w oczach.

— Zameczam ją, wiem o tem — rzekł do Isaacsona — ale to nie moja wina. Czuję się tak strasznie chory!

Głowa jego opadła na piersi. Isaacson wziął go za puls. Nigel patrzał w dół zamglonemi oczami. Mrs. Armine spojrzała na Isaacsona, który przypomniał sobie inny puls, uderzający silnie — puls, który mu dał do zrozumienia bradwę w życiu — i porównał go z tem słabem tętnem, bijącem pod jego wrażliwymi palcami.

— Lepiej pujść do łóżka — rzekł Niglowi, puszczając jego rękę i śledząc uważnie, jak opadła na poduszkę. — Dam coś na bezsenność.

Mrs. Armine otworzyła usta, lecz tym razem spojrzał na nią tak, że musiała je zamknąć.

— Nie wiem, czy zażywasz jakie lekarstwo na noc. Jeżeli tak, trzeba dzisiaj przerwać. Nie zażywaj nic, z wyjątkiem tego, co ja dam. Jak tylko będziesz w łóżku, przyjdę do ciebie.

— Lecz — zaczął Nigel — myśmy jeszcze...

— Jeszcześmy się nie rozmówili, wiem. Mamy dość czasu na to. Mrs. Armine ma zupełną słuszność. Już późno i musisz się położyć.

Nigel uczynił ruch, żeby wstać. Mrs Armine pospieszyła z pomocą. Otoczyła go ramieniem i podtrzymując go zaprowadziła do wąskiego korytarza, na który wychodziły sypialne pokoje. Znikli za drzwiami.

Isaacson usiadł i czekał, patrząc na tryskającą fontannę i uwięzioną w niej kulkę. Następnie zaczął się rozglądać po pokoju. Człowiek, którego widział powożącego rysakami i przymkniętego w palarni haszyszu, mógł się tutaj czuć rzeczywiście u siebie. A on sam, czy nie mógłby się czuć u siebie wśród tych cudnych kobierców i haftów, w których na pewno było wplecione coś z głębokiej, wiecznej zagadki Wschodu? Ale jego przyjaciel i... ta kobieta?

Nienawidził teraz M s. Armine. Był człowiekiem, który umie nienawidzieć. Lecz nie powinien dać tej nienawiści nad sobą zapanować. Niegdyś w cichej z nią walce został zwycięzony, teraz w tej drugiej walce musi odnieść zwycięstwo. Jeżeliby jego usposobienie i duma stały na przeszkodzie, musi je utrzymać na wodzy. Zadała im śmiały cios dzisiejszego wieczoru. Lecz ten cios zamiast go usunąć, zawiódł go do chorego przyjaciela. A jednak Isaacson musiał przyznać, że była silną przeciwniczką.

Konsylium jutro o czwartej z tym młodym lekarzem! Tak ułożyła Bella Donna!

Znudziło go siedzenie, wstał i wyszedł na balkon. Zobaczył białą postać stojącą przy poręczy i przypomniał sobie, że Hanza był z Niglem, kiedy wszedł do pokoju. Nie pomyślał o Hanzie, całą swą uwagę poświęcił choremu przyjacielowi, lecz teraz podczas tej przerwy miał czas pomyśleć i o nim.

Egipcyanin odwrócił się patrząc na niego. Hanza był w białym ubraniu i białym turbanie. Jego delikatne ręce czyniły dwie ciemne plamy na wolnej malowniczej szacie. Na tle nocy jego ciemna twarz, na którą padało światło z pokoju była podobną do wschodniego sennego zjawiska. W oczach płonął cichy fanatyzm. Oczy te obudziły w Isaacsonie jakieś dziwne uczucie, którego nie mógł zrozumieć. Pomyślał o palacu haszyszu o pomarańczowym ogrodzie otaczającym dom, w którym palacz haszyszu czasem przebywał. Ci wschodni ludzie... pomimo najścia Anglików i tak zwanego „rozbudzenia Wschodu"... żyją w dziwnym, romantycznym i pociągającym świecie. Czy Bella Donna uległa jego urokowi? Mimo woli oczy jego zadały to pytanie temu synowi Wschodu, który był w Mecce, który się modlił... wiele razy dziennie!... i był jej osobistym sługą.

Zbliżył się do Hanzy i podał mu papierosa. Hanza przyjął go z ukłonem i schował gdzieś w fałdach swej szaty. Stali obok siebie w milczeniu. Egipcyanin wyglądał, jak gdyby był pełen tajemnic, które w nim cicho spoczywały, jak stojąca woda ocieniona drzewami i zasłonięta od wiatru. Może Starnworth mógłby go zrozumieć... Starnworth, przed którym Wschód odkrył niektóre swoje tajemnice. Isaacson przypomniał sobie jego opowiadanie w nocy i ostatnie słowa przed wyjściem... „Inny kodeks, niż nasz"...

C. d. n.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

51 I.

— Tak. Była jeszcze druga nieszczęśliwa istota, która przybyła do klasztoru na kilka dni przed naszą Rachelą. Ona już nie była młoda i cierpiała bardzo na serce. W nocy miewała często ataki, a Rachela, która zajmowała sąsiednią celę, przychodziła jej z pomocą. I tak się stało, że nocy ubiegłej ta biedna nowicyuszka umarła na rękach naszej Racheli.

— Co dalej? Co dalej?

— Rachela — mówiła dalej Róża — pozostała więc sama w nocy ze zwłokami. Zdaje mi się, że przed śmiercią nowicyuszka zwierzyła jej jakąś ważną tajemnicę i... i...

— No — czemu nie kończysz? — niecierpliwił się młody człowiek.

— Przejście to podziałało bardzo na Rachelę... dostała wstrząśnienia silnego...

— Różo! zaklinam cię, mów... Czy nie widzisz, jak mnie dręczysz okropnie?

Róża opuściła nizko głowę i milczała, oddychając ciężko.

— Różo! zlituj się... mów dalej... Co się stało!? — błagał Ranieri, chwytając ją za rękę.

— Panna Rachela jest... trochę chora... — wyszeptała w końcu Róża z trudem.

— Chora!

— Tak... trochę.

— Nie widziałaś jej?

— Nie.

— Dlaczego nie starałaś się z nią widzieć? Czyżbyś jej nie kochała już, Różo?

— Jak pan może tak mówić! Chciałam się widzieć z nią, ale mnie do niej nie dopuścili. Rachela była w swojej celi, a nikt do nowicyuszek wchodzić nie może prócz przełożonej i furtyanki. Obcych dopuszczają zaledwie do rozmównicy.

— Ale co jest, Różo? Co jej jest?

— Mówia, że ma gorączkę.

— Gorączkę? Mój Boże! jakiż to może być rodzaj gorączki, Różo?

— Nie wiem, Ekscelencyo. Powiedziano mi tylko: „gorączka" i nic więcej! Zapewne przestrach tę gorączkę wywołał.

— Co za nieszczęście! — rozpaczał Ranieri. — Powinnaś była koniecznie widzieć się z nią, Różo! A jeżeli ona jest bardzo chora? Jeżeli ona umrze?

— Oh! Ekscelencyo! proszę mnie tak nie przerażać! Ona jest młoda i silna! Nie może umrzeć! Przełożona mówiła mi, że chwilami biedactwo traci przytomność!

— Traci przytomność! — zawołał Ranieri, blednąc silnie. — Więc ona umiera!

— Ależ nie! nie! To skutki nocy spędzonej przy zmarłej. Przełożona mówiła, że w gorączce wzywa ciągle swojej matki i że rozmawia z nią, jak z osobą żyjącą.

— A o mnie nie wspominała wcale?

— Tego mi nie mówiono. Matka przełożona wspominała mi tylko jeszcze, że Rachela wymawia często jakieś obce nazwisko...

— Nazwisko Markusa Hennera! — zawołał Ranieri, wstrząsając się całem ciałem.

— Tak, Markusa Hennera.. To ten człowiek, który przychodził nocą do mojego pana, ojca Racheli i który chciał siłą ją poślubić! Oh! to niedobry, nikczemny człowiek, Ekscelencyo!

— To zbrodniarz! — syknął przez zęby Ranieri. — Ale nie mówmy już o nim! Ta choroba Racheli! Mój Boże! Gdyby się jej miało pogorszyć! Gdyby nawet śmiertelne niebezpieczeństwo miało jej grozić, nawet wówczas widzieć jej mógł nie będę! Ale może chociaż lekarza przysłać jej będzie można?

— Przełożona mówiła mi, że lekarz wejść może, ale za pozwoleniem arcybiskupa.

— A gdyby umarła, Różo! czy i wtedy nawet nie dopuszczą mnie do niej?

— Niestety, nie, Ekscelencyo!

— Boże mój — jęknął młody człowiek, opadając bezsilnie na krzesło.

— Niech się pan uspokoi — prosiła Róża. — Trzeba się uzbroić w odwagę... Obłóczyny na razie są wstrzymane, a to rzecz najważniejsza, a wierze, że Rachela wkrótce do zdrowia powróci.

— Ale tymczasem jakim sposobem odbierać będziemy o niej wiadomości?

— Oh! będziemy je mieć, Ekscelencyo, będziemy je mieć — pocieszała stara, chociaż silny niepokój ją wstrząsał.

Przełożona bowiem nie ukrywała wcale, że siostra Gracya cierpiała na bardzo silną gorączkę, że od dwóch dni traciła przytomność i w malignie mówiła niezrozumiałe rzeczy i że zapewne owej nocy fatalnej, kiedy czuwała przy łożu konającej nowicyuszki, ta ostatnia musiała jej uczynić straszne jakieś zeznanie, straszniejsze, niż śmierć sama. Jakieś słowa i wyrazy rwane wybiegały z ust siostry Gracyi, wyrazy bez związku... ale odnosiły się one jedynie do jej matki i Markusa Hennera, którego w gorączce nazywała katem swoim. Róża ukryła jednak przed Ranierim, że zawezwano już do klasztoru lekarza, który zaopiniował ciężką gorączkę mózgową i nie taił, że stan chorej jest niebezpiecznym.

Tymczasem obrzęd pogrzebowy siostry Maryi odbył się w klasztorze bez żadnej wystawności i pompy, a towarzyszyły mu długie modły i pokuty wszystkich zgromadzonych zakonnic. Niegdyś, klasztor „Zagrzebanych żywcem" posiadał prawo grzebania swoich zmarłych w obrębie samego klasztoru, na małym cmentarzu, znajdującym się przy ogrodzie zakonnym. Ale po ukazaniu się nowego prawa kościelnego, przywilej ten został zniesiony i zakonnice, zmuszone iść za regułą ogólną, przenoszone były nocą na cmentarz w Poggio-Reale. Ta nowa reguła była zawsze źródłem głębokiego smutku zgromadzenia. Dawniej dozwolonem było zakonnicom w godzinach wolnych od codziennych obowiązków iść odwiedzać zmarłe swoje towarzyszki na maleńki cmentarz, nosić im kwiaty z własnego ogrodu i dbać o całość i czystość grobów. Teraz zaś, ilekroć która z sióstr umarła, żal za nią był dotkliwszy i głębszy, bo żegnać jej szczątki pozostałe zakonnice musiały już na zawsze, bez pociechy pomodlenia się nad jej grobem. A mistycznym ideałem wszystkich „Pogrzebanych żywcem" było życie i śmierć w tych murach, za którymi schroniły się dobrowolnie w wielkiej pogardzie świata.

To też rozpacz głośna i łzy towarzyszyły wynoszeniu zwłok siostry Maryi ze zgromadzenia. W pewnej chwili przed śmiercią wyraziła ona przed siostrą Gracyą wolę swoją, aby nazwiska jej nie umieszczano na płycie kamiennej jej grobowca. Chciała ona zniknąć ze świata, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. To pragnienie umierającej doszło do wiadomości matki przełożonej, ale napróżno ta ostatnia ustrzec chciała to nazwisko przed ciekawością ogólną. Prawo surowe i zimne i temu ostatniemu pragnieniu zadość uczynić nie chciało. Deklaracya śmierci musiała być złożona w syndykacie dzielnicowym przez lekarza dzielnicowego, który wpisał do niej te słowa: „zmarła na anewryzm serca" — a w księgach cywilnych dzielnicy Montecalvario widniał ten napis:

„Klara Henner, lat 45".

Tajemnica Markusa Hennera.

Koniec marca ukwiecił w różnorodne barwy wszystkie wzgórza neapolitańskie, a ciepły, łagodny powiew wiatru roznosił już po okolicy odurzające zapachy kwitnących drzew i sadów. Ranieri Lambertini pomimo pogodnego dnia, wzywającego do przechadzki, siedział jednak zamknięty w swoim pokoju hotelowym, nie zdając sobie sprawy z przemiany nagłej, jaka nastąpiła w naturze.

Zbudziło go z zamyślenia pukanie dyskretne do drzwi. Wszedł służący hotelowy, oznajmiając mu, że pan jakiś oczekuje na niego w czytelni i pragnie się z nim widzieć.

— Kto jest ten pan? — zapytał Ranieri, niechętny tym odwiedzinom.

— Nie chciał wymienić swojego nazwiska — brzmiała odpowiedź służącego.

— Czy zapytywałeś go o nie?

— Tak. Ekscelencyo.

— I nie chciał ci powiedzieć?

— Powiedział mi: „nazwisko moje jest obce dla Ekscelencyi, nie mam więc potrzeby je wymieniać".

— W takim razie powiesz mu, że go przyjąć nie mogę — wyrzekł zimno Ranieri.

Służący wyszedł, lecz powrócił po krótkiej chwili.

— Pan ten nalega, żeby zostać przyjętym przez Ekscelencyę.

— Czy mu powiedziałeś, że nie znając go wcale, przyjąć go nie mogę?

— Powiedziałem.

— I cóż?

— Powiedział mi: „proszę powiedzieć, że przybywam z polecenia hrabiego Roberta Alimeny".

— Ah! — szepnął Ranieri zamyślony. — Co to za człowiek — zwrócił się po chwili z zapytaniem do służącego.

— Jest przyzwoicie ubranym, Ekscelencyo — prawie wytwornie.

— W jakim wieku?

— Średnim.

— Włoch?

— Nie, Ekscelencyo — Anglik.

— Anglik? Czy jesteś tego pewnym?

— Oh! tak, Ekscelencyo! Tylu ich tu widzimy w hotelu.

— To dobrze. Zapytaj go, czy ma list do mnie.

Służący wyszedł znowu; powrócił z kopertą, którą podał młodemu człowiekowi.

Ranieri szybko otworzył i czytał:

„Drogi Ranieri! Człowiek, który ci wręczy ten bilet, nazywa się Ryszard Leslie, a właściwie Dick Leslie. Przynosi Ci on wiadomości bardzo interesujące i odbył bardzo długą podróż, aby Cię móc widzieć osobiście. Ma Ci także wręczyć pewne dokumenta odemnie. Przyjmij go tak, jak gdybyś mnie przyjmował we własnej osobie.

Robert Alimena".

— Dobrze — wyrzekł Ranieri — powiedz temu panu, że zaraz zobaczę się z nim w czytelni.

Jednakże, przed wyjściem z mieszkania, Ranieri odszukał kilka listów Roberta Alimeny, chcąc porównać pismo. Było to samo. Pomimo tego dowodu, młody człowiek, który w ostatnich czasach przywykł był do drobiazgowej ostrożności, po chwili namysłu wyjął z biurka mały rewolwer i włożył do kieszeni, poczem tak uzbrojony, wyszedł z pokoju.

Detektyw Dick Leslie oczekiwał go w obszernej sali hotelu, służącej za czytelnię. W tej chwili sala ta była pusta.

Ranieri podszedł do detektywa i skłonił mu się grzecznie i zimno, mierząc go bystrem, przenikliwem spojrzeniem. Dick Leslie wytrzymał to spojrzenie z dobrodusznym uśmiechem bez najmniejszego zmieszania.

Po chwili Ranieri odezwał się wskazując gościowi krzesło.

— Pan mi wybaczy, że czyniłem pewne trudności, zanim zdecydowałem się przyjąć pana. Nie lubię wogóle nowych twarzy i nowych znajomości.

— Ma pan słuszność — odparł zimno Dick Leslie. — Ja również jestem bardzo podejrzliwym i nie chciałem wręczać biletu hrabiego Alimeny służącemu hotelowemu.

— Czy zechce mi pan teraz powiedzieć, o co chodzi? — zapytał Ranieri.

— Owszem, ale nie tutaj.

— Przecież tu niema nikogo.

— To nic. Ja tu jednak mówić nie będę.

— Więc chodzi rzeczywiście o coś ważnego bardzo? — zdziwił się Ranieri.

— Tak, panie; o rzeczy bardzo ważne.

— Czyżby życiu Roberta Alimeny groziło jakie niebezpieczeństwo? — badał dalej Ranieri, który nie pozbył się jeszcze swojej nieufności i nie miał ochoty i zamykać się w swoim pokoju z nieznajomym człowiekiem.

— Nie mogę teraz nic więcej powiedzieć — odparł Dick Leslie zimno.

— A więc chodźmy — zdecydował się w jednej chwili Ranieri.

— Jeżeli ten człowiek był nasłany zdradziecko przez Markusa Hennera, to drogo sprzedam swoje życie — myślał Ranieri, prowadząc gościa do swojego pokoju.

Od chwili, w której dowiedział się od Róży, że dzień obłóczyn Racheli został odłożony z powodu jej choroby, jakaś iskra nadziei zaczęła w niego wstępować, a pragnienie śmierci ucichło się w nim, czyniąc miejsce nieokreślonym jeszcze marzeniom i zamiarom.

— Nie, teraz nie pora jeszcze umierać — mówił do siebie, patrząc z pod oka na detektywa. — Markus Henner jeżeli go tu przysyła, złą dla siebie i dla niego wybrał godzinę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

Helenka bez tchu prawie uczepiła się ręki Celiny.

— Wiesz już? proszę was odejdźmy stąd jak najprędzej, kilka dni temu odesłałam mu pierścionek, a on jakby nigdy nic, przystępuje i mówi ze mną. Boję się go, bo choć się opieram, muszę nieraz robić to, co on chce.

— Ależ nie można tak zaraz — perswadował pan Michał — toby wyglądało na ucieczkę...

— Niech wygląda jak chce — mówiła Helenka na pół z płaczem — a ja nie będę w jego towarzystwie...

— A kochałaś go niby pani — rzekł pan Michał kiwając głową.

— Rozmyśliłam się! Czy niestałość jest tylko przywilejem mężczyzn — dodała uszczypliwie...

— Dobrze już dobrze — mówił pan Michał zbliżając się do schroniska — żadne z nas niema wielkiej ochoty do spotykania tego panicza...

* * *

Było to cudne letnie południe, z niebem bez chmurki i żywiczną wonią w powietrzu! Celina z mężem siedzieli na werandzie i byli zupełnie sami, zatopieni w błogiem milczeniu. On przeglądał gazety, myśląc o żonie więcej jak o polityce, a Celina przerzucała karty jakiegoś tygodnika. Na błękitnem niebie odcinał się Giewont, a w tem przejrzystem powietrzu, wydawał się naprawdę jak olbrzym do snu ułożony. W ciszy tego skwarnego dnia, słychać było ćwierkanie polnego konika, a gdzieś daleko dzwonki pasących się krów.

Ciszę tę przerwał nagle odgłos zbliżających się kroków, skrzypnęła furtka i przez żwirowaną ścieżkę zbliżał się mężczyzna przysadkowaty, krępy, którego pąsowy krawat i spinki z fałszywemi brylantami z daleka uderzały w oczy. Celina powstała i jak zahypnotyzowana patrzała na niego.

— Kto to jest — szepnął pan Michał marszcząc czoło.

— To Nemezis — odparła pobladłemi usty.

Tymczasem mężczyzna ów, zatrzymał się o kilka kroków przed werandą i zdawał się podziwiać widoki natury.

— Celina podeszła do niego i zapytała bez żadnego wstępu:

— Czy poznajesz mnie pan?

— Poznaję, chociaż raz tylko miałem szczęście widzieć panią — odparł z patosem.

Celina ściągnęła gniewnie brwi.

— Masz pan do mnie interes — zapytała blednąc.

— Co za fenomenalna domyślność — zawołał nieznajomy z uwielbieniem — oddawna już chciałem pomówić z panią, a wiedząc gdzie pani przebywa, pospieszyłem za panią — ale zdaje mi się — dodał z wahaniem — że lepiej będzie w cztery oczy...

— Na to nie pozwalam — rzekł pan Michał mierząc wzrokiem dziwnego gościa — cokolwiek masz pan do powiedzenia, proszę mówić w mojej obecności.

— Nie mam żadnych tajemnic przed moim mężem — dodała Celina, widząc pytające spojrzenie nieznajomego.

— Fenomenalnie — mruknął z nieudanem zdziwieniem — ha, jeśli pani chce, mogę każdemu powtórzyć to co wiem, ale pierwej musimy ułożyć się o cenę.

— To zależy...

— Za pozwoleniem mecenasie, mecenas, wszak prawda? obrońca prawny! hm, hm, piękne stanowisko, ale dyablo niewygodne dla takich ptaszków, o jakich mówić będziemy.

— Państwo pozwolą, że usiądę — dodał — zmęczyłem się szukając państwa.

— A proszę — odpał pan Michał niedbale, wskazując na oddalony fotel. Cóż nam pan powiesz — ciągnął dalej mierząc od stóp do głów przybyłego.

— Czy nam tutaj nie przeszkodzą — spytał nieznajomy oglądając się w koło...

— Bez obawy mój panie — mówił pan Michał z niecierpliwiony, nikogo niema w domu.

— Mów pan, zaczynaj! — zawołała Celina z wypiekami na twarzy.

— Zaraz łaskawa pani! przedewszystkiem, jak powiedziałem musimy ułożyć się o cenę. Nie zawsze byłem taki materyalny, niegdyś wobec pięknej kobiety — pochylił głowę w kierunku Celiny — i takiej wspaniałej przyrody — ręką wskazał na szczyty — byłbym rozpłynął się w ekstazie! Ale dziś, wiek dojrzały każe zapominać o młodzieńczych porywach, dziś...

— Do rzeczy łaskawy panie, do rzeczy — przerwał znudzony pan Michał.

— Właśnie zbliżamy się do samego jądra, że tak powiem — mówił nieznajomy wcale niezmieszany — otóż jak powiadam, człowiek jeść potrzebuje! Jestem komiwojażerem, ale teraz i do tego mnie nie dopuszczają, mówią, że się zestarzałem, że piję! Ja piję! że tam czasem kieliszek połknę, aby robaka zalać — i ten, ten mówił, żem pijak, że mi nikt nie uwierzy, zobaczymy...

— Co tam pan mruczysz — zawołał pan Michał — mów co masz mówić...

— Jestem w potrzebie jak pan dobrodziej widzi, bez miejsca, bez pieniędzy, muszę upomnieć się o nagrodę, zwłaszcza, że tu nie o byle co chodzi — za tysiąc Marek...

Celina mieniła się, to bladła, to czerwieniła się. Przyszła godzina pomsty i kary! Lecz czem przekupi nędznika? Spojrzała błagalnie na męża...

— No cóż, namyśleliście się państwo — zapytał nieznajomy, spoglądając to na jedno, to na drugie.

— Zgadzam się — rzekł pan Michał, odpowiadając zwrokiem żonie.

— Dobrze, lecz gdzież gwarancya — mówił patrząc podejrzliwie na pana Michała, zaniepokojony tak łatwem ustępstwem.

— Słowo uczciwego człowieka...

— Wolałbym jakąś kartkę lub weksel — rzekł chrząkając i poprawiając krawata.

— Dostaniesz pan gotówką, gdy uznam, że rewelacye pańskie są warte tego...

— Ba, ba, czy warte! przekonacie się państwo, wolałbym jednak zawsze jakieś zabezpieczenie...

— Dosyć tych układów — zawołał pan Michał zniecierpliwiony — mów pan co masz mówić, a nie...

— Dobrze, rzekł pospiesznie nieznajomy — otóż, zaczął poprawiając się w krześle — w fatalnej godzinie mego życia, spotkałem pewnego młodego doktora. Nazwiska nie wymieniam, znacie je państwo dobrze.

Celina wlepiła w niego oczy, bojąc się odetchnąć, aby mu nie przerywać.

— Był to wesoły bursz — ciągnął nieznajomy swobodnym tonem — chorował jednak tak samo jak i ja na brak monety. Rozmówiwszy się ze mną raz i drugi, powiada: — W takiem mieście jak nasze, znajdują się prawdziwe kopalnie złota, ale trzeba je umieć wyszukać. Naprzykład takie młode smyki — przyjeżdża to z napchaną kieszenią i aż się pali do gry i hulanki. Z takim zasiąść do stolika, to ci powiadam można go na czysto oskubać.

— No, a jak szczęście nie dopisze — pytam, bo i mnie podobał się ten interes.

— Można szczęściu dopomódz — odpowiada z domyślnym uśmiechem — a to z przeproszeniem odważna bestya, myślę sobie i coraz rośnie we mnie ochota do zysku.

— Cóż kiedy mnie tutaj znają — ciągnie dalej — człowiek pokończył studya, nie chciałby narażać swojej przyszłości, ale tak dobrawszy sobie wspólnika, możnaby żyć jak pan i mieć zawsze pełne kieszenie. Znam na przykład jednego faceta, niemłody już, a taki zapalony, że jak zobaczy karty, o całym świecie zapomina. Nie wiele on tam ma, ale jak dostanie od jakichś tam krewnych kwartalną pensyę, to zawsze można coś skorzystać. Zapoznam cię z nim i z kilku innymi.

Nie byłem od tego! Jakiś czas wszystko szło dobrze, mieliśmy pieniądze, bawiliśmy się, hulali, pili! A choć tam czasem ktoś nam zrobił burdę, albo brzydkie podejrzenie na nas rzucił, nie robiliśmy sobie dużo z tego, w końcu uznano zawsze naszą niewinność. Starego skubaliśmy od czasu do czasu, ale wyrobiwszy sobie rozleglejszą praktykę, nie łakomiliśmy się na tych parę groszy. Aż raz wpadł nam sam w ręce! Kilka dni przedtem wygadał się, że będzie miał większą sumkę do rozporządzenia, a jak na toż w kieszeniach naszych straszna była posucha. Jakoż bez szukania jak powiadam, wpadł nam sam w ręce. Pamięta pan' ten wieczór? O bo ja panią nie zapomniałem! Zasta nowił mnie wyraz energii w twarzy, osoby takie bywają niebezpieczne, to też śledziłem panią i zawsze wiedziałem gdzie się pani znajduje. Była to broń na mego doktora, gdyż stosunki nasze od tego czasu, jakoś się popsuły.

— Dalej, dalej — szepnęła Celina zaciskając dłonie.

— Zaszliśmy razem do knajpki, gdzie schadzaliśmy się zwyczajnie ze starym. Z początku służyło mu szczęście, lecz jakoś potem obróciła się karta — dodał chrząkając — no i zgrał się do czysta. Tym razem jednak nie przyjął tego spokojnie, rzucał się, krzyczał, groził nam sądem boskim i nie chciał nas opuścić, upominając się natrętnie o zwrot pieniędzy. Wyszedł razem znami ciągle pomstując i odgrażając się. Knajpka była na Zwierzyńcu, wstyd nam było tych krzyków, skierowaliśmy się ku Wiśle. Było to po dłuższych deszczach, rzeka wezbrała i z szumem toczyła swe żółte fale. Pozostałem trochę w tyle! Słysząc krzyki starego, chciałem pospieszyć i odciągnąć go, wiedziałem bowiem, że mój doktór jest wściekłym złośnikiem i że się w nim wszystko gotuje, gdy nagle usłyszałem plusk wody i zobaczyłem jedną tylko postać na brzegu. Stanąłem jak bałwan, ale Władek przyskoczył do mnie, porwał mnie za rękę i zaczął uciekać.

— Dobrze mu tak, czego wrzeszczał — powtarzał nieustannie.

Wpadliśmy do knajpy, aby zalać robaka, a kiedy nad ranem powracaliśmy do domu, jakieś zbiegowisko zatrzymało nas w drodze i nagle zobaczyliśmy na noszach ciało naszego wczorajszego partnera.

Pan Michał słuchał ze zmarszczonem czołem, a Celina zakrywszy oczy gwałtownie płakała.

— Ma on i inne jeszcze grzeszki na sumieniu — ciągnął po chwilowej przerwie nieznajomy — jak na przykład zrabowanie biurka nieboszczyka Sławuckiego, czego łaskawa pani była świadkiem nie podejrzywając, że i ja podglądałem z drzwi balkonowych.

— Nie rozumię — bąknął pan Michał.

— A tak! szukał testamentu, a nie znalazłszy zabrał pieniądze. I pan mecenas nic nie podejrzywał, gdy mu powiedziano, że w całym domu znaleziono zaledwie pięćset marek, u człowieka, który miał dochodu przeszłoośmdziesiąt tysięcy? Była to sprawka krewniaczka, on się wtedy obłowił na jakie kilkadziesiąt tysięcy — dodał nienawistnym tonem.

— Co za brudy — szepnął pan Michał z obrzydzeniem.

— Teraz wierzysz? — zawołała Celina odejmując chustkę od oczu — nadeszła godzina pomsty — mówiła wznosząc oczy do nieba — odpłaci mi za łzy, tęsknotę, sieroctwo! Czy ten świadek wystarczy, aby go wsadzić do więzienia? — pytała z zapartym oddechem.

— Wystarczy — odparł pan Michał posępnie, spuszczając wzrok ku ziemi.

— Dziękuję Ci, o Panie! — zawołała Celina składając ręce — żem doczekała tej chwili.

— Za zemstę dziękujesz — odezwał się pan Michał ze smutnym uśmiechem.

— Za ujęcie zbrodniarza i dokonanie sprawiedliwości — odparła namiętnym tonem.

Wtem furtka skrzypnęła i nowy gość zbliżał się do willi. Pan Władysław powoli wstępował na schody werandy. Nie spostrzegł zaczerwienionych oczu Celiny, a do jej obojętności zdawna był przyzwyczajony. Fotel z nieznajomym zaś, cofnięty przez tegoż w oddalony kąt werandy również nie zwrócił jego uwagi. Tryumf przeglądał mu z twarzy i całego obejścia, hardem spojrzeniem obrzucił gospodarzy i rzekł z powstrzymywanym uśmiechem:

— Pogodziłem się z Helenką! Teraz zaś przychodzę oznajmić państwu, że ślub nasz odbędzie się tutaj za kilka dni, gdyż właśnie rok terminowy upływa. Wydobędę ją wreszcie z pod waszej troskliwej opieki! — dodał z nieukrywaną nienawiścią.

— Zapomniałeś pan tylko o jednej rzeczy — odparł pan Michał powstając i zbliżając się ku niemu — że każdy zły czyn, powrotną falą uderza w pierś człowieka.

— Zły czyn — powrotna fala — zaśmiał się szyderczo — nauczyłeś się pan od swojej żony patetycznych wykrzykników!

Nieznajomy starał się nieznacznie ulotnić.

Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Miesiąc lipiec dobiega ku końcowi. Pierwsza połowa wakacyi należy zatem już do przeszłości, letnicy zaczynają myśleć o powrocie pod dachy rodzinne, ci zaś, którzy się dotąd nie zdecydowali na wyjazd zamiar swój odłożą prawdopodobnie na rok przyszły. W politycznym świecie z powodu pełni sezonu wakacyjnego widoczna pewna ospałość, w pismach codziennych spotyka się coraz mniej telegramów pochodzących od „naszych własnych korespondentów“, a opatrzonych po większej części znakami zapytania, lub dopiskami redakcyi, że wiadomości te „nie zostały dotąd stwierdzone“.

Wobec tego zastoju ogólnego nie wywołały też w szerszych kołach większego wrażenia „spodnie pana Stanisława Grabskiego“, które mu zafundował nasz Rząd, aby się mógł godnie pokazać za granicą. Dotąd mówiło się o przeciwnikach wszelakiego rodzaju, a zatem i politycznych, że „jeden drugiemu szyje buty“ obecnie przysłowie to ulegnie pewnej modyfikacyi, będzie się bowiem mówić „funduje spodnie“. Pan Witos fundator, i pan Grabski obdarowany, należą do wrogich sobie obozów, ten objaw uznania musi mieć zatem jakieś głębsze, ogółowi nieznane przyczyny, dla pana Grabskiego może się przecież skończyć fatalnie, gdyż ci sami, którzy go z łaski w garderobę na koszt kraju zaopatrzyli, jeśli się im narazi kiedy, gotowi wołać nań: „Oddaj spodnie!...“

Po inne czasy sprawa ta byłaby z pewnością narobiła daleko więcej chałasu i wrzawy, zasługuje bowiem na to w całej pełni, jak świadczy o tem fakt, że pierwsze poruszyło ją „Słowo Polskie“, zatem organ przyboczny pana Grabskiego. Ale, gdy nie tak dawno temu zajmowano się bardzo żywo „pantalonami pana Pantalona“ wypisując całe artykuły, że na scenie krakowskiej wystąpił w nie stylowych, nad politycznymi pantalonami pana Grabskiego przeszła opinia publiczna bardzo prędko do porządku dziennego, wychodząc z założenia, że ich prawdopodobnie potrzebował, skoro się o nie starał. „Słowo Polskie“ wyświadczyło w każdym razie niedźwiedzią przysługę leaderowi swego stronnictwa, wyciągając tę sprawę na wierzch, prawdopodobnie jednak słyszało, że dzwonią, ale nie wiedziało w którym kościele, to jest, że spodnie dostał ktoś, ani nawet przez myśl im zaś nie przeszło, iż mógł być nim pan Grabski.

Dla skarbu polskiego kwestya ta może się stać bardzo niewygodnym i kosztownym precedensem na przyszłość, odtąd bowiem każdy z mężów stanu, otrzymując jakiś mandat do załatwienia, gotów się starać o zasiłek na uzupełnienie swej garderoby, ten na parasol, ów na krawatkę, inny na chustkę do nosa itd.

Panującemi w lipcu planetami byli zatem pan Rabski i pan Grabski. Dzięki im miały nasze gazety co pisać. Szczególniej zajęto się jednak panem Rabskim, który po swej napaści na byłą Galicyę, gdy podniosły się z tego powodu zewsząd głosy oburzenia, wystąpił z artykułem, w którym tej dzielnicy poświęcił sporo słodkich i czułych słówek, oświadczając, że tak źle o niej nie myśli, jak pisze, jeśli zaś występuje przeciw niej, to tylko w interesie ogółu i dobra publicznego, gdyż byłą Galicyę uważa za kanał, którym dotąd płynie w stronę Polski brudna i cuchnąca fala biurokratyzmu, zatruwająca u nas atmosferę. Pan Rabski chciałby zaś, aby w Polsce zapanował porządek, ale nie taki, jak w byłym zaborze austryackim, lecz według norm stosowanych w Kongresówce, gdzie każdy robi co chce, a rządzą panowie o „domowem wykształceniu“, gwiżdżący na jakieś tam paragrafy i tym podobne niepotrzebne wymysły. Były austryacki urzędnik, którego uczono, że ustawy wydaje się dlatego, aby się do nich ludność stosowała, a jego obowiązkiem jest przestrzeganie, aby się tak działo, Kongresowiakowi nie bardzo się podoba, gdyż wyrobił sobie o przedstawicielach władzy zupełnie inne wyobrażenie. Zdarzyło się nam naprzykład słyszeć utyskiwania pewnego jegomościa na ten temat.

— Ja do tych urzędników, pochodzących z Galicyi — mówił — nie mam bynajmniej zaufania. Dawniej, za rosyjskich czasów, jeśli się czego w urzędzie potrzebowało, dawało się odnośnemu funkcyonaryuszowi dziesięć czy dwadzieścia rubli i było się pewnym, że interes załatwiony, dziś takiego pana możesz zaprosić na śniadanie, ugościć go należycie, a choć cię to kosztuje daleko więcej, nie wiesz, odniesie skutek, czy nie... To nie jest żaden porządek!

Nie znaczy to bynajmniej byśmy urzędników z byłego zaboru austryackiego uważali za spełniających idealnie swe obowiązki, owszem nieraz i bardzo wiele mieliśmy im do zarzucenia, w każdym przecież razie przyznać się musi, że stoją oni o całe niebo wyżej od rosyjskich. Nie zawsze wchodzi tu w grę biurokratyzm, ale w większej części wypadków ścisłe wypełnianie postanowień ustawy i szanowanie własnej godności, uważane przez nie przywykłych do tego za orgie biurokratyzmu i niepotrzebne szykany. Porządek, jaki pragnąłby widzieć pan Rabski w Polsce, byłby zatem dla ogółu korzystniejszy, gdyby nawet miał nieco owego biurokratycznego zabarwienia, które tak się niejednemu nie podoba. Jeśliby zaś miały u nas zapanować takie stosunki, jak to było ongi w Kongresówce, wydalibyśmy sami na siebie wyrok śmierci, taki bowiem porządek, jaki wówczas zapanowałby w kraju, byłby dla wielu wygodny, ale ogółowi i samemu państwu nie przyniósłby bynajmniej pożytku.

Jeśli się chce, aby maszynerya państwowa funkcyonowała należycie, musi się przestrzegać ściśle porządku i to w najdrobniejszych nawet sprawach, choćby to nawet miało się komuś wydawać biurokratyzmem. Dziwi nas też niepomiernie artykuł z jakim spotkaliśmy się niedawno w *Kuryerku*, piętnującym dotąd stale nieporządki panujące w Kongresówce. Autor obarza się obecnie, że warszawska Kasa miejska wydała w dniu 28 czerwca b. r. kwit na wpłacone przez kogoś dwa fenigi, nazywając to szczytem biurokratyzmu, niepotrzebnem marnowaniem czasu, drogiego papieru i t. d. Prawdopodobnie autor, pisząc to, nie zastanowił się nad tem, że to nie biurokratyzm, lecz najzwyklejszy tylko porządek, wymagający, aby każdy wpływ lub wydatek kasowy był należycie zanotowany, gdyż w przeciwnym razie powstanie chaos, w którym potem nikt się nie wyzna. Dla skrupulatnego kasyera, którego tak pan Rabski jak i korespondent *Kuryerka* nazwą biurokratą, dwa fenigi są również ważną pozycyą, jak i dwa tysiące marek, gdyż jego obowiązkiem jest przestrzeganie, aby mógł się wykazać stanem kasy odpowiadającym uskutecznionym wpłatom. Z fenigów robią się marki, z marek zaś tysiące i miliony.

Jest to zatem zwykły porządek, a nie objaw biurokracyi i *Kuryerek* nie ma zupełnie powodu do irytacyi.

Nie wyklucza to, że w szeregach urzędników znajdujemy osobniki, hołdujące biurokratyzmowi i zatruwające nim życie sobie i innym. Taki pan, który powiedział sobie naprzykład, że jego obowiązkiem jest załatwić dziennie dwadzieścia „kawałków“, jeśli to uskuteczni, nie weźmie pióra do ręki, choćby zostawały mu jeszcze i ze dwie godziny czasu, a na biurku leżały sprawy bardzo pilne. Powiada sobie, że spełnił swoje zadanie i woli rozmyślać o niebieskich migdałach, czekając, aż się skończy czas urzędowania. Niech jednak sprawy, jakie na ten dzień mu przypadły, są trudniejsze i wymagają więcej czasu, tak iż mógł ich załatwić tylko dziewiętnaście, jest niepocieszony, czuje kłucie w okolicy wątroby, posyła do apteki po gorzką wodę, aby się przypadkiem ze zmartwienia na dobre nie rozchorować. To są jednak wyjątki, a z wyjątków nie można snuć wniosków i orzekać o całości. Większość urzędników wywiązuje się należycie ze swego zadania, przestrzega ściśle ustawy, ale równocześnie nie zapomina o tem, jakie ma obowiązki wobec stron i spełnia je po obywatelsku.

W pojęciu warszawskiem trzymanie się istniejących przepisów jest już objawem biurokratyzmu, a że przykład idzie z góry, zaczyna się u nas w całym kraju postępować tak, jak się komu podoba, stąd też i w urzędach coraz więcej chaosu i nieporządku, na czem najgorzej wychodzi ogół, a z nim razem i ci, którzy narzekają na biurokratyzm. Dla odmiany wywodzą wtedy żale na niesprawność naszych urzędów, lekceważenie sobie obowiązków, choć sami przedtem występowali przeciw ścisłemu przestrzeganiu obowiązujących przepisów, uważając je za objaw biurokratyzmu.

Z brakiem porządku spotykamy się zaś we wszystkich dziedzinach naszej administracyi i niema chyba człowieka, któryby nie odczuł tego na swej własnej skórze. Należy do nich naturalnie i kronikarz, który musi się przyznać, że jako człowiek starej daty, z tym nowym porządkiem, nie mającym z porządkiem nic wspólnego, w żaden sposób pogodzić się nie może. Jako przykład nienależytego funkcyonowania naszej maszyny państwowej niech służy drobny fakt, który przecież doprowadził jego kronikarską mość do pasyi, jakiej nie powstydziłby się niejeden jaśnie wielmożny szewc *vulgo* szpadała. Przed dwoma tygodniami wysłał do jednego ze swych znajomych, bawiącego w okolicy Uhnowa dwa numery „*Nowości Illustrowanych*“ zapakowawszy je należycie i zaopatrzywszy odpowiednio w znaczki pocztowe, pod tym względem jest bowiem biurokratą, to jest przestrzega porządku. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy po tygodniu otrzymał zawiadomienie, że na miejsce doszedł tylko jeden numer, drugi zaś przepadł gdzieś, niczem kamień w wodę. Co się z nim stało, kto go obecnie czyta, tego nie wie, konstatuje jednak nagi fakt, który niezbyt pochlebnie świadczy o porządkach pocztowych.

Znamy dobrze stosunki, jakie panują na prowincyi i wiemy o tem bardzo dobrze, że nadejście świeżej poczty jest tam zdarzeniem dnia, że wówczas schodzi się do lokalu pocztowego cała inteligencya miejscowa, aby przeczytać gazety, dla kogo innego przeznaczone, dlatego też tłómaczymy sobie nieraz opóźnienie w doręczeniu przesyłki wynikłe z tego powodu, trudno bowiem odmówić jakiemuś dygnitarzowi małomiasteczkowemu i ściągnąć na siebie z tego powodu jego niełaskę, nie możemy sobie jednak wytłómaczyć powodu, dlaczego z dwu przesłanych egzemplarzy zaginął jeden, a nie obydwa, co świadczyłoby, że skierowano je na mylną drogę i pozwalało żywić nadzieję, że kiedyś bedąjby po kilku miesiącach dojdą na miejsce przeznaczenia. W drodze między Krakowem a miejscem dokąd były wysłane, ktoś ciekawy czytał widocznie lub choćby oglądał tylko przesyłkę, widocznie jeden z numerów bardziej go zainteresował i zatrzymał go sobie na pamiątkę. Gdyby jednak ci funkcyonaryusze pocztowi, którzy przy ekspedycyi, przesyłce, odbiorze i doręczeniu wysłanych egzemplarzy byli czynni, kierowali się istniejącymi i obowiązującymi ich przepisami, jeden z numerów nie byłby w tajemniczy sposób zniknął, a oni nie ściągnęliby na siebie zarzutu, że są biurokratami.

Jedyną radą, aby nasze urzędy zmusić do trzymania się ściśle litery prawa, jest wytykanie najdrobniejszych nawet niedokładności, przez nie popełnionych. W ten sposób zmusza się je do należytego funkcyonowania i spełniania swych obowiązków, czego przecież nikt nie nazwie biurokratyzmem. Za wszystko płacimy dziś takie sumy, iż chyba mamy prawo żądać, aby słuszne wymagania zostały uwzględnione.

Biurokratyzm, o ile on nim jest w ścisłem tego słowa znaczeniu, przynosić tylko musi szkodę i przeciw takiemu występuje każdy zdrowo myślący człowiek, piętnując go, jak na to zasługuje. Nie należy go jednak szukać tam, gdzie on jest tylko objawem porządku.

Za taki objaw biurokratycznego pojmowania sprawy uważać możemy choćby tylko przestrzeganie zbyt skrupulatne przez zarząd wodociągów miejskich w Krakowie pory zamykania dopływu wody do miasta. Ktoś tam przy zielonym stoliku obliczył, że takie a takie przyniesie to oszczędności i ani rusz przekonać, że tak nie jest. Zaznaczaliśmy już kilkakrotnie, ile w ten sposób niepotrzebnie marnuje się wody, obecnie jakby na poparcie naszych słów pożar na Zabłociu przekonał, że stosowanie oszczędności, obliczyć się dających choćby nawet na tysiące, wyrządza szkody milionowe. Cała prasa krakowska podniosła z naciskiem, że w razie wybuchu pożaru porą nocną grozi miastu poważne niebezpieczeństwo, zarząd wodociągowy pozostał przecież głuchy na nawoływania, zamyka stale na noc wodociąg, a jakie to za sobą pociąga skutki, mieliśmy sposobność się przekonać. Na Zabłociu (Podgórze), wybuchł w nocy w tartaku należącym do Zakładu dobroczynnego Brata Alberta pożar, który w pierwszej chwili mógł być stłumiony w zarodku, gdyby woda była pod ręką. Niestety, wodociąg już odpoczywał, dozorca zbiornika także, a zanim zdołano przywrócić dopływ wody do miasta, zabudowania spłonęły, a szkodę, wyrządzoną przez ogień, właściwie zaś przez brak wody, obliczają w przybliżeniu na szesnaście milionów marek.

I sądzi kto może, że nauczyło to rozumu zarząd wodociągowy?... Jeśli kto jest tego zdania, ten się grubo myli. Dopływ wody do miasta zamyka się na noc w dalszym ciągu, gdyż takie jest polecenie ze względu na robienie oszczędności. Trzeba będzie, aby się spalił budynek, należący do któregoś z wpływowych radców miejskich, a wówczas dopiero rozporządzenie zostanie odwołane. Na to jednak trzeba będzie czekać dość długo, gdyż obecnie i nasze władze autonomiczne rozpoczęły odpoczynek wakacyjny, a najwybitniejsi członkowie wyjechali z Krakowa celem poratowania zdrowia gdzieś na świeżem powietrzu, nie mogąc go znaleźć w podwawelskim grodzie, bardzo po macoszemu traktowanym przez magistrackie miotły, prawdopodobnie także ze względów oszczędnościowych. Wielki dobrodziej Europy Hoover, nawoływaniami swemi: „Oszczędzać i pracować!...“, narobił wiele bigosu. Oszczędności robi się na prawo i na lewo, ale przeważnie w sposób, jak wyżej opisano, na pracę natomiast nie przyszła jeszcze widocznie kolej, gdyż nie widać nigdzie zbytnich wysiłków w tym kierunku. Pod tym względem ogół nasz jest bardzo biurokratycznie usposobiony i o ile to dotyczy ustawy, ograniczającej czas dziennej pracy, stosuje ją aż nazbyt skrupulatnie, aby sił swoich przypadkiem nie nadszarpać. Dla niektórych nawet czas ośmiogodzinnej pracy to już zawiele, niema natomiast takich, którzy gorszyliby się tem, że spoczynek niedzielny jest bardzo pilnie obserwowany, że nie można się w dni świąteczne zaopatrzyć w artykuły spożywcze, wolno natomiast w knajpie przesiedzieć nie ośm godzin, ale nawet szesnaście.

Warszawy, przypomniał, że trzy lata temu Warszawa obchodziła konsekracyę ks. Łozińskiego na biskupa dyecezyi mińskiej, dziś z radością i uznaniem wita go, powracającego z niewoli, gdzie okazał niezłomność wiernego syna Ojczyzny i obrońcy cywilizacyi. Imieniem Zw. ziem białoruskich powitał ks. Łozińskiego p. Porębski, im. Zw. zakładników p. Barylski, a jako przedstawiciel Rządu minister Raczkiewicz. Bukiet polnych kwiatów ofiarowała p. Kleniewska.

Na pooranej śladami przebytych cierpień twarzy ks. Biskupa odbijało się głębokie wzruszenie, którego nie mógł opanować w chwili, kiedy w odpowiedzi na powitania przemówił, umniejszając swoje zasługi, a dziękując za dowody przywiązania, które napawają go otuchą, że naród, umiejący tak gorąco kochać swych braci, wyjdzie zwycięsko z wszystkich prób, a serca dzieci Ojczyzny będą dźwignią, która nie pozwoli im ustać w żmudnej pracy.

Po tych słowach rozległy się okrzyki „Niech żyje!" — poczem ks. Biskup przeszedł przed frontem kompanii honorowej i odprowadzony przez członków komitetu, odjechał wśród niemilknących okrzyków tłumów publiczności.



Powrót biskupa-męczennika: Jenerał Jacyna przemawia do ks. biskupa Łozińskiego imieniem wojskowości. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Święto francuskie we Lwowie.

Rocznicę zburzenia Bastylii obchodził Lwów wraz z całą Polską bardzo uroczyście, dając w ten sposób wyraz sympatyi, łączący naród polski z francuskim. Czuć było tak z przebiegu obchodu, jak



Powrót biskupa-męczennika: Ks. biskup Łoziński opuszcza dworzec kolejowy warszawsko-wiedeński w otoczeniu członków Komitetu przyjęcia. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

i z tonu wygłoszonych przemówień, że w grę wchodzi tutaj serce, a nie sam tylko interes.

W przeddzień uroczystości odbyła się wieczorem parada wojskowa z muzyką. Orkiestra wojskowa odegrała szereg pieśni przed budynkiem konsulatu francuskiego następnie przeszła głównemi ulicami miasta.

W dniu 14 lipca rano przy bardzo pięknej pogodzie, odbyło się właściwe uczczenie narodowej rocznicy francuskiej. O godzinie 10 rano w kościele archikatedralnym uroczyste nabożeństwo odprawił ks, biskup Twardowski.

Przed głównym ołtarzem zajęli miejsce przedstawiciele władz i instytucyi. Honorowe miejsca zajęli konsul francuski Vautier i oficerowie misyi francuskiej wojskowej z pułk. de Renty. Dalej obecni byli: jen. Delegat Rządu Dr Gałecki, członkowie misyi angielskiej, szefowie władz cywilnych, jen. Szymański z gronem oficerów.

Podnieść należy, że w uroczystości brała udział liczna publiczność, co jest dowodem sympatyi społeczeństwa polskiego dla narodu francuskiego święcącego dzień ten z takim pietyzmem.

Po nabożeństwie, w chwili, gdy konsul francuski w otoczeniu oficerów francuskich i przedstawicieli władz opuszczał katedrę, batalion piechoty sprezentował broń, orkiestra zaś odegrała hymn francuski.

Z kolei odbyła się defilada załogi lwowskiej.

Po uroczystości składali życzenia na ręce konsula francuskiego i pułk. de Renty Jen. Delegat Rządu Dr Kazimierz Gałecki — imieniem Rządu, Z. hr. Lasocki — imieniem Wydziału samorządowego i prezydent J. Neumann — imieniem miasta.

Zaznaczyć należy z uznaniem, że Lwów bierze stale bardzo żywy udział we wszystkich obchodach narodowych i przy tej okazyi zupełnie otwarcie manifestuje swą polskość. Może to służyć za odpowiedź angielskim politykom, a przedewszystkiem Lloydowi George'owi, którym sprawa Wschodniej Małopolski spokoju nie daje i stale spędza sen z powiek. Agitacya ukraińska prowadzona za granicą na szeroką skalę przy pomocy kapitałów, dostarczonych przez wrogie nam żywioły, robi swoje. Lloyd George sprawy tej części Polski nie uważa, jak to zaznaczył w swej odpowiedzi, wygłoszonej w angielskiej Izbie Gmin na interpelacyę jednego z posłów, za definitywnie załatwioną. Oświadczył on, że Wschodnia Małopolska, jest dotąd jedynie pod militarną okupacyą polską, że zatem o ostatecznym jej losie ma się dopiero zadecydować. Lwów, jako główne miasto tej części kraju daje stale politykom zagranicznym do zrozumienia, że jest polskim i takim chce nadal pozostać. Ze strony Francyi przynależności byłej Wschodniej Galicyi do Polski nie grozi żadne niebezpieczeństwo, święcił też Lwów ze szczerem sercem narodowe święto francuskie, czując w Francuzach sprzymierzeńców, których losy związały ściśle z nami w celu obrony wspólnych interesów, zagrożonych bowiem nie tylko przez jawnych wrogów, ale także przez rzekomych przyjaciół i sojuszników, za jakich tak względem Polski, jak i Francyi uważać należy Anglików, kierujących się zawsze w najwyższym stopniu samolubną polityką i nie liczących się z niczem, byle tylko sobie zapewnić powodzenie i głos decydujący.

Oficyalne stwierdzenie przyjaźni
francusko-amerykańskiej.

W chwili, gdy coraz głośniej mówi się i pisze o możliwości nowych zawikłań politycznych, których wyjściem stačby się miała sprawa górnośląska, niezwykle doniosłe znaczenie ma zmiana na stano-



Święto francuskie we Lwowie: Plac Katedralny po uroczystem nabożeństwie w dniu 14 lipca b. r.

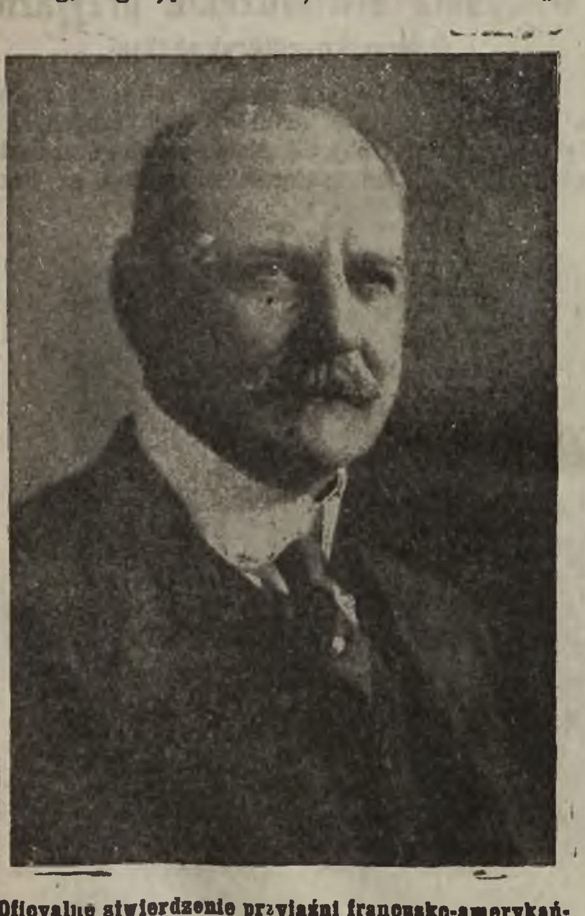
wisku ambasadora Stanów Zjednoczonych we Francyi. Niemcy, ufne w poparcie Anglii, stale lekceważą sobie postanowienia traktatu wersalskiego, zdawało się im, że Ameryka poprze też ich uroszczenia, wobec czego Francya znajdzie się zupełnie odosobniona i zmuszona będzie przyjąć fakt dokonany, to jest rozstrzygnięcie kwestyi górnośląskiej w myśl żądań niemieckich. Nadzieje te prysły jednak, jak bańki mydlane i to równocześnie z pogłoskami, że Anglia, popierając Niemcy, a sama mając zapewnioną zgodę Japonii, przygotowuje się do zbrojnego starcia z Francyą i że w tym kierunku czynione są w Londynie kroki, aby Helgoland stał się punktem wyjścia dla akcyi militarnej angielskiej, skierowanej przeciw Francyi.



Święto francuskie we Lwowie: Przedstawiciele władz, wojskowości oraz goście podczas defilady.

Na polityków angielskich i niemieckich podziałać musiała otrzeźwiająco nominacya nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Paryżu, którym został Myron T. Herrick, znany szeroko z swych sympatyi francuskich. Powraca on po raz drugi na to stanowisko, z którego odwołano go na początku światowej wojny, a Francuzi pamiętają dobrze jego starania, jakie wówczas poczynił, aby ochronić Paryż przed pruskim wandalizmem, na wypadek wkroczenia wojsk pruskich do stolicy. Paryżanie żywią też szczerą wdzięczność dla niego, czemu dali wyraz, witając go nadzwyczaj serdecznie, jako swojego wypróbowanego przyjaciela.

Ambasador Herrick zajął obecnie miejsce H. Campbell Wallace'a, również zdeklarowanego frankofila i gorącego wielbiciela francuskiej kultury. Prezydent Harding, żegnając Herricka, odezwał się doń: „Jestem przekonany, że naród Stanów Zjednoczonych czeka na to, ażebym pana wezwał do powrotu do Francyi. Ja pragnę równie, ażeby pan tam powrócił...", czem dał zupełnie niedwuznacznie do zrozumienia, że stosunki przyjaźni między Stanami Zjednoczonymi a Francyą zacieśniły się silniej, niż się nawet spodziewano.



Oficyalne stwierdzenie przyjaźni francusko-amerykańskiej. Odwołany ze swego stanowiska dotychczasowy ambasador Stanów Zjednoczonych we Francyi, H. Campbell Wallace.

Wręczając prezydentowi republiki francuskiej swoje pisma uwierzytelniające, p. Herrick wygłosił mowę, która w Paryżu i w całej Francyi znalazła głośne echo. Odbije się ono z pewnością także i tam, gdzie przyjaźń francusko-amerykańska uważana jest za rękojmię pokoju.

„Od chwili — mówił pan Herrick — gdy stanąłem na ziemi francuskiej, byłem przyjmowany w sposób, który mnie wzrusza ponad wszelki wyraz. Zrozumiecie moje wzruszenie, gdy w Hawrze powitały mnie sieroty po tych ludziach, którzy ofiarowali życie swoje, żeby dzieci ich mogły żyć w spokoju. W Paryżu prezydent republiki, nie zważając na formalności dyplomatyczne, przybył do mnie, ażeby mnie powitać jako przyjaciela. A obok niego było tylu innych przyjaciół, że miałem wrażenie, jak gdybym znajdował się wśród mojego własnego narodu. Powiadają mi, że zdobyłem sobie miłość Francyi. Jeżeli tak jest, to spadł na mnie nadmiar szczęścia, ponieważ zyskawszy miłość Francyi, zyskałem przez to samo także zaufanie mojego kraju, w którym miłość dla Francyi nie była nigdy tak silną jak dzisiaj".

W sposób tak gorący nie przemawiał dotąd żaden ambasador w pałacu Elizejskim. Przechodząc do części oficyalnej, oświadczył p. Herrick, że Stany Zjednoczone, które podczas wojny stały po stronie Francyi, pragną obecnie pracować równie z Francyą nad dziełem pokoju, nad materyalnem i moralnem odrodzeniem świata.

Prasa paryska bardzo żywo zajmuje się osobą p. Myrona T. Herricka. Powrót jego do Paryża jest widomym znakiem, że Stany Zjednoczone nie dadzą się użyć jako narzędzie przeciwko Francyi. Jest to oczywiście wzmocnieniem stanowiska Francyi zarówno na europejskim, jak na światowym terenie politycznym.

Podbój powietrza.

Fantastyczne starożytne podanie o Dedalu i Ikarze, pierwszych lotnikach, zamieniło się za naszych czasów w czyn dokonany. Pomysłowość ludzka zdobyła przestwory powietrzne, a kulminacyjnym punktem wynalazczości ludzkiej stał się samolot, który pozwolił człowiekowi szybować w powietrzu lotem ptaka, wznosić się i zniżać, kierować w dowolną stronę. Fantastyczna powieść Juliusza Vernego zaczęła przybierać coraz realniejsze kształty. Ale samolot jest maszyną stosunkowo zbyt wielką i kosztowną, niedostępną zatem dla zwykłego śmiertelnika, który chciałby użyć powietrza, jako drogi komunikacyjnej. W tym celu starali się rozmaici wynalazcy o skonstruowanie stosunkowo niewielkiego i jak najmniej skomplikowanego środka lokomocyi powietrznej, zbudowanej na wzór obecnego roweru, który umożliwiłby człowiekowi wzniesienie się w górę, przebycie pewnej przestrzeni i wylądowanie. Dotychczasowe próby pozostały jednak bez skutku. Francuz Robert Peugeot wyznaczył nagrodę w kwocie dziesięć tysięcy franków dla twórcy takiego aparatu, który potrafiłby bodaj dziesięć metrów przelecieć w powietrzu, wychodząc z założenia, że trzeba przełamać tylko pierwsze lody, a geniusz ludzki dokona reszty.

Przed kilku dniami odbyła się we Francyi próba wynalazku, który przypomina bicykl powietrzny, zaopatrzony w dwie płaszczyzny normalnego biplanu, a jest wynalazkiem inżyniera francuskiego Gabryela Poulain.

Poulain pierwszy skonstruował aparat, umożliwiający każdoczesne wzniesienie się w powietrze i demonstrował próbne wzloty na polach Longchamps w Paryżu.

Około trzysta osób zebrało się na lotnisku, by przyjrzeć się tym ciekawym ewolucyom.

Było rano, czwarta i pół, tuż po pierwszych promieniach słońca, oświecających ziemię. Gabriel Poulain wsiada na swój aparat, jak na zwykły bicykl i przy odpowiedniem wykonaniu szeregu ruchów swym aparatem, wzbija się w powietrze na wysokość metra, poczem szybuje w powietrzu przez parę chwil, aby wnet znów opaść na ziemię i gładko wylądować.

Sukces osiągnięty. Lotnik przeleciał przeszło dziesięć metów, bo 11 m. 98.

Potem następuje powrót. Poulain unosi się w górę na wysokość 1 metra 50 cm. i zupełnie swobodnie buja w powietrzu, robiąc wrażenie, iż opanował najzupełniej swój aparat. Lądując, przechyla trochę zbytnio jedno skrzydło ku ziemi, ale z wielką wprawą umie ocalić się przed upadkiem i łamie tylko dwa tylne ogniwa skrzydeł. Tym razem przeleciał 11 m. 60 cm.

Dzienniki francuskie zapewniają, że jest to wielki krok naprzód w dziejach aeronautyki. Po piętnastu latach awiacyi nowy wynalazek pozwala żywić spore nadzieje, że w niedługim czasie ujrzymy już tanie, o prostej konstrukcyi aparaty lotnicze, pewne w locie, którymi ludzkość posługiwać się zacznie masowo w swych napowietrznych jazdach.

Inżynier Gabriel Poulain stał się zatem zdobywcą nagrody Roberta Peugeot.



Oficyalne stwierdzenie przyjaźni francusko-amerykańskiej: Myron Herrick, mianowany ambasadorem Stanów Zjednoczonych we Francyi.

Król hiszpański Alfons w Paryżu.

Władca Hiszpanii, Alfons XIII. należy do stosunkowo bardzo popularnych monarchów i bynajmniej nie krępuje się przepisami surowej etykiety dworskiej, oddzielającej chińskim murem panującego od zwykłych śmiertelników. Cieszy się też wielką sympatyą, nie tylko u siebie w kraju, ale także i u sąsiadów, zwłaszcza zaś we Francyi jest zawsze mile widzianym gościem. Odwiedza ją stosunkowo dość często, republikanie witają zawsze bardzo serdecznie członka domu Bourbonów, a i prasa poświęca mu bardzo przychylne artykuły. Jest to poniekąd podyktowane może i względami natury politycznej, gdyż Francyi zależy na tem, aby mieć pewnego sąsiada, na którego możnaby liczyć w danym wypadku. I król Alfons, który, jak się okazało, jest politykiem przewidującym, umie widocznie ocenić, jakie znaczenie dla Hiszpanii ma przyjaźń z Francyą, i to wzmacnia nici sympatyi, łączące oba narody.

Widomym znakiem tych sąsiedzkich, przyjacielskich stosunków są odwiedziny króla hiszpańskiego w stolicy Francyi, wywierającej na nim stale urok,

jako siedziba wysoko rozwiniętej kultury i miejsce, z którem łączą go tradycye rodzinne. Podczas pobytu nad Sekwaną nie otacza się bynajmniej przepychem i majestatem, mającym dodać sztucznego blasku głowie koronowanej, ale zachowuje się jak zwykły przeciętny burżuj, na którego widok nie przyszłoby nikomu nawet na myśl, że ma przed sobą władcę wielomilionowego narodu, króla Hiszpanii, którego przodkowie tak święcie przestrzegali prawideł surowej etykiety, iż doprowadzali nieraz do śmieszności.

W ostatnich czasach bawił Alfons XIII. w Paryżu i wziął udział w uroczystem otwarciu czternastej Wystawy sztuki i zabytków, urządzonej w salach zamku wersalskiego, z którym wiąże się tyle wspomnień historycznych zwłaszcza zaś z najświetniejszych dla Francyi czasów Ludwika XIV., tego prawdziwie złotego wieku francuskiej kultury, rozchodzącej się stąd po całym cywilizowanym świecie.

Na uroczystość otwarcia przybył król Alfons w towarzystwie prezydenta Republiki A. Milleranda. Gości przyjęli i wprowadzili członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Sztuki z panem Andrzejem Pératé, konserwatorem pałacu, ciało dyplomatyczne, członkowie Akademii Francuskiej z marszałkiem Petain i Franchet d'Espèrey. Podziwiano wiele wspaniałych gobelinów i rzadkiej struktury mebli.



Król hiszpański Alfons w Paryżu: Król Alfons w towarzystwie prez. Milleranda po zwiedzeniu Wystawy wersalskiej.



Mistrzo boksu: Arena w Jersey City, na której odbyły się w dniu 2 lipca b. r. zapasy między Carpentierem a Dempsey'em, loża sędziów i trybuny ze stu tysiącami widzów

Mistrze boksu.

Oryginalne i wyczerpujące sprawozdania z przebiegu walki o mistrzowstwo światowe w dziedzinie boksu, rozegranej między Carpentierem a Dempseyem, poparte zdjęciami fotograficznemi i filmami kinomatograficznymi nadeszły już do Europy, przesłane pospiesznymi parowcami i zajmują opinię publiczną zwłaszcza we Francyi. Carpentier, choć pokonany przez swego amerykańskiego współzawodnika, dla Francuzów nie przestał być bohaterem narodowym. Porażce jego towarzyszy ogólne współczucie, zwłaszcza wśród płci nadobnej i ogólne przeświadczenie, że stał się on ofiarą przeważającej siły i brutalności Dempseya, co bynajmniej nie umniejsza jego sławy. Jemu samemu osładza przegraną uzyskane honoraryum w kwocie dwustu tysięcy dolarów. Za taką cenę niejeden z Europejczyków pozwoliłby sobie nie tylko złamać kość nosową, wybić kilka zębów, ale zgodziłby się nawet i na cięższe obrażenia.

Wszystkie sprawy, nawet najaktualniejsze, już w przededniu walki zeszły tak w Ameryce jak i we Francyi z porządku dziennego. Na ustach wszystkich i w prasie były te dwa oto nazwiska wymawiane ze czcią, podziwem i uznaniem, otoczone nimbem bohaterstwa nieomal, ściągające westchnienia miliona serc niewieścich we Francyi i za Oceanem. W pamiętny dzień walki, t. j. w sobotę, 2 b. m. prasa obu republik lwią część swoich szpalt poświęciła opisom walki, nie omijając najdrobniejszych nawet szczegółów, z uwagi na ogromne zainteresowanie nią publiczności.

Walka odbyła się w Jersey City, stan New Jersey, gdzie na ten cel wybudowano największe, zdaje się w świecie, trybuny dla widzów. I nigdy też w historyi wszelakich widowisk nie brały udziału tak wielkie tłumy widzów, jak w Jersey City. Rozmiłowani w sportach i zawodach wszelkiego rodzaju ściągnęli do Jersey z najodleglejszych okolic Stanów Zjednoczonych. Jersey, przylegające samo do Nowego Jorku i Brooklynu, zaludniło się nie do poznania, zaroiło jak mrowisko. Wystarcza wspomnieć, że walce przyglądało się z górą 90.000 ludzi. Opłata pobrana za bilety wejścia w ogólnej sumie przeniosła z górą milion dolarów. Zakłady często przekraczały 100.000 dolarów, a ogólnie wynosiły wedle przypuszczalnych obliczeń dziesiątki milionów.

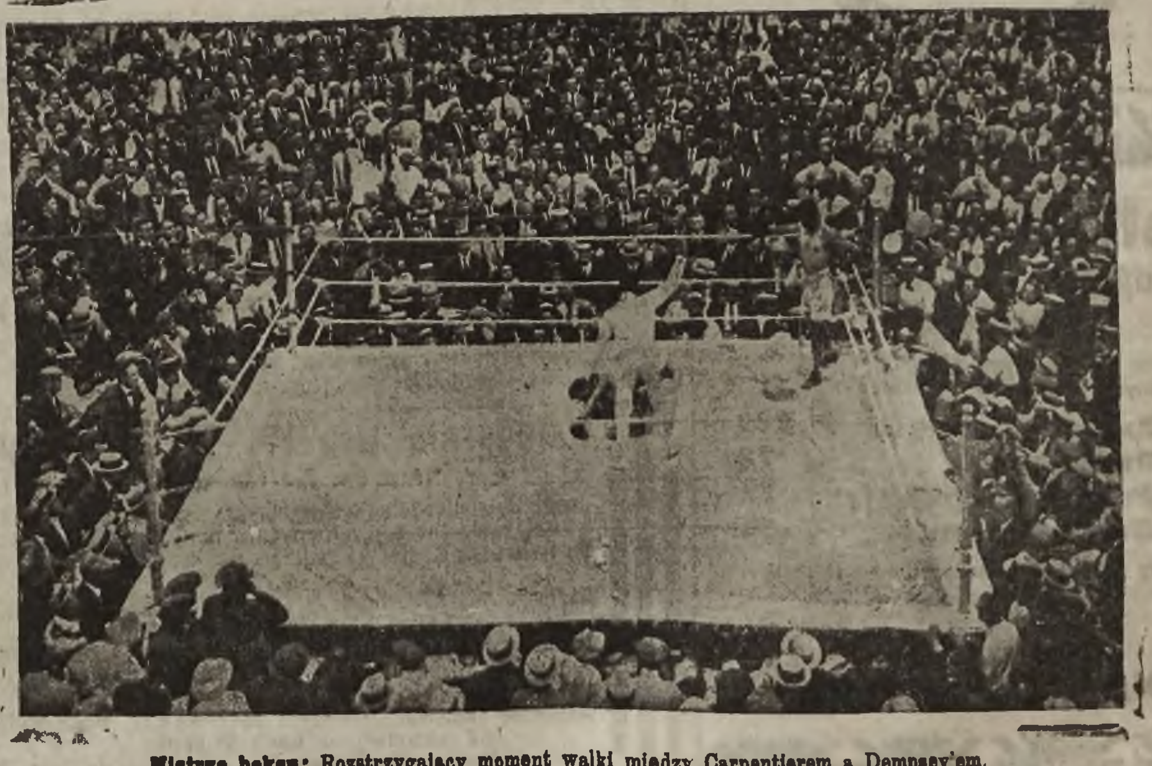
Zwycięzcą z walki wyszedł, osiągając szampionat światowy w walce bokserskiej, Jack Dempsey, rodem ze stanu Utah, krainy Mormonów. Francuz Carpentier, ulubieniec pięknych Paryżanek został przezeń powalony w czwartym t. z. round'zie uderzeniem w szczękę, po jednej minucie i 16 sekundach.

Prasa paryska oburza się na barbarzyński sposób, w jaki Dempsey pokonał swego przeciwnika, stosującego jedynie metody ogólnie przyjęte w Europie. Carpentier bowiem jest bokserem europejskim, podczas kiedy Jack Dempsey był pod koniec walki, jak o nim mówi prasa amerykańska, jak wściekły byk (raw bull) i za nic mógł mieć inne poza swoimi metody walki, byleby tylko osiągnąć zwycięstwo. Do tryumfu jego niemało przyczynić się musiał i ten także fakt, że był znacznie silniejszym i lepiej zbudowanym aniżeli Carpentier. I wagą i zwrostem i siłą muskułów i klatką piersiową miał przewagę nad swoim przeciwnikiem francuskim. Dlatego też ciosy Carpentier'a, mimo że były precyzyjne i mistrzowskie, nie czyniły mu zbyt wielkiej krzywdy, zwłaszcza, że jak się okazało, Dempsey i czaszkę posiada dostatecznie twardą. Natomiast uderzenia Dempsey'a były istotnie zabójcze.

Pierwsze uderzenia w walce otrzymał Dempsey w szczękę, co wprawiło go w pasyę i uderzeniem silnem w nos przeciwnika, wywołał mu krwotok silny ustami i nosem. Pierwszy round zakończył się dla Carpetier'a niefortunnie, powalił go bowiem Dempsey na kolana.

W następnym rund'zie Carpentier przeszedł do silnej ofensywy. Dempsey otrzymał znowu uderzenie w szczękę, poczem wyciśnięty został prawie na sam brzeg areny. W trzecim rund'zie Dempsey przeszedł do taktyki zaczepnej, nacierał coraz silniej. A kiedy rozległ się dzwonek do czwartego rund'u w mgnieniu oka się zerwał ze swego krzesła i podbiegł do Carpentier'a, zanim ten zdążył zrobić dwa kroki. Już po upływie pół minuty Carpentier otrzymał straszne uderzenie w szczękę, co zwaliło go z nóg. Na liczenie do dziesięciu, Carpentier chwiejny już zerwał się na nogi, ale tym razem Dempsey zastosował jeden z tych śmiertelnych ciosów, z których jest znany, uderzył Carpentiera silnie w brzuch i okolicę serca, zwalając go już zupełnie, ku niedającej się opisać uciesze stutysięcznej rzeszy widzów. Było to, jak skrupulatnie podają o tem pisma amerykańskie, o godz. 3 m. 38 po południu.

Tak oto Jack Dempsey z Salt Lake City, stolicy stanu Mormonów, został szampionem świata w walce bokserskiej.



Mistrze boksu: Rozstrzygający moment walki między Carpentierem a Dempsey'em.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Skalski, Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół podadzą słabość, na którą, niestety, zbyt często nasz Sejm zapada.

— ora
— ola
— ola
— zop
— oła
— mam
— ena
— zaw
— oga
— ran
— pir

Kwadrat magiczny.

Ułożył S. Kalczyński, Jordanów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a. a, e, e,
i, i, l, n,
n, o, o, p,
p, v, s, z.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka na Syberyi, 2. Grecki bajkopisarz, 2. Miejscowość we Włoszech, 4. Sw'ęty byk u Egipcyan.

Zagadka literacka.

Ułożył Meteorolog z Krakowa.

Odgadnąć tytuły dzieł podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą imię świętego, z którym wiążą się przepowiednie meteorologiczne.

Pol?
Prus?
Mickiewicz?
Jeż?
Wilkoński?
Fredro?

REBUS:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przyborowskiego „Czerwona mara" (powieść), 2) Album Legionów Polskich.

Rozwiązanie zagadek z Nru 29.

Łamigłówka. Korfanty.

Trójkąt magiczny. Niessel, Irkuck, Emaus, Sola, sum, Eu, l.

Zadanie do uzupełnienia. Szkoła, arfa, łany, motyka.

Rebus: Przyjaźń wkłada na człowieka nieraz bardzo ciężkie obowiązki.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Cercha Miechów, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, H. Malinowski Warszawa, J. Falczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kęty, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. F. Gostyńska Kielce, W. Kulesza Warszawa, M. Stachowicz Kraków, G. Wirstnik Żółkiew, J. Cześnikiewicz Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) A. Świątkowski, Poznań (książka); 2) M. Pollak Kraków (kalendarz familijny). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.